



NIEDENTHAL SCEPTYK
PARADOWSKA BYWA I WIE
NAJSZTUB ODPOWIADA

PUBLIC RELATIONS

DZIENNIKARSTWO

FOTOGRAFIA

pismo warsztatowe Instytutu Dziennikarstwa
Uniwersytetu Warszawskiego

czyli w co gramy?

CZERWIEC nr 1/2007



MECENAS PISMA



w to gramy

Tak jak naród będzie obserwować zmieniającą się Polskę od morza do gór (w związku z przygotowaniem do Euro 2012), tak my zamierzamy przedstawiać, analizować, pytać, porównywać, radzić oraz wyjaśniać zmieniający się świat public relations, dziennikarstwa czy fotografii. Będziemy to czynić za pomocą raportów, analiz, wywiadów, komentarzy, zdjęć i rysunków. Mam nadzieję, że z Waszym udziałem – stół obrad redakcyjnych mamy wyjątkowo długi. Spotykamy się w każdą środę o 17:30 w sali 51. Zapraszamy także w wakacje.

Od lewej: Urszula Ginalska, Honorata Zapaśnik, Agnieszka Juskowiak, Magdalena Karst, Grażyna Oblas, Alicja Bobrowicz, Anita Karwowska, Edyta Ganc, Jolanta Chowaniec-Sośniak, Patrycja Mic, Agnieszka Wójcińska, Andrzej Berezowski, Tomasz Borowski, Paweł Olek, Jan Dąbkowski, Adam Kisiołek.

Specjalne podziękowania dla Klubu Piłkarskiego Legia Warszawa.

for. Andrzej Zygmuntowicz

Przekąska przy Paradowskiej

W przerwie między lekturą poradników jak stworzyć pismo eventowe a kadrowaniem w mieście polecam przygotowanie tarty ze szpinakiem. Idealna przekąska przy lekturze pozostałych artykułów: rozmowy z Janiną Paradowską o publicystyce politycznej czy historii Piotra Najsztuba z cyklu „gdzie się zaczął”. W sklepie zestaw obowiązkowy do tarty składa się ze: szpinaku mrożonego (1 paczka bez dodatków, 450 g), z targu (tylko latem) – 0,5 kg, z supermarketu (hiszpański, 250 g) – 2 paczki; maki (wrocławska, poznańska lub luksusowa), margaryny (np. Kasia), soli, pieprzu, bazylii, kostki sera białego, małego opakowania jogurtu naturalnego, czosnku, cebuli, startego żółtego sera (może być paczkowane parmino do kupienia w supermarketach lub inny ser parmezanopodobny). Po powrocie ze sklepu warto odsapnąć, wykorzystując moment rozmrożenia szpinaku (nie czynimy tego za pomocą wody, gdyż opakowanie bywa dziurawe i jego zawartość może się rozpuścić) i wrócić do lektury tekstów. Wrocławski reporter Jacek Antczak opowiada o kulisach pracy nad książką o Hannie Krall, a dziennikarka Joanna Derkaczew podkreśla znaczenie recenzenta teatralnego w kształtowaniu wysokości budżetu polskich rodzin. Czas czytania dwóch tekstów jest odpowiedni do rozmrożenia szpinaku. Jeśli szpinak pozostanie „zbrylowany” warto go pokruszyć, przed wrzuceniem na patelnię. Pod przykryciem, na małym ogniu rozmrażamy go. W przypadku szpinaku z targu należy obciąć łodygi, a liście wypłukać dokładnie z piachu pod bieżącą wodą. Po odsączeniu wrzucić na patelnię i na oliwie z oliwek podsmażyć. Do smażenia nie nadają się duże liście, żółknięte oraz w kolorze jasno zielonym. Dostosuj często trzeba mieszać szpinak, gdyż łatwo go spalić. To kluczowy moment w przygotowywaniu potrawy. Dlatego „PDF” powinien zostać odłożony, mimo że opis kampanii PR promującej idee organizacji Euro 2012 jest ciekawy. Do szpinaku dodajemy podsmażoną wcześniej cebulę, pokrojoną w kostkę. Wyciśnięte 2-3 ząbki czosnku od razu podkreślą smak. Uwaga: chiński czosnek jest co prawda o potęgę tańszy od polskiego, ale jednocześnie kilkakrotnie mniej intensywny. W takim przypadku potrzebne będzie ok. 5 ząbków. Białe ser należy rozgnieść widelcem i wrzucić do szpinaku. Dodać jogurt oraz przyprawy. Do tego wszystkiego preferuję wciśnięcie cytryny. By zrobić ciasto półkruche na tartę, należy na stolnicę/błacie stołu wysypać szklanke maki, dodać przyprawy (sól, pieprz, bazylię, kminek lub inne według uznania), wymieszać, pokroić w małe kawałki pół kostki margaryny, wbić jajko, dodać dwie łyżki wody i zagnieść tak, by margarynę rozprowadzić równomiernie. Jeśli ciasto będzie się kleić (zostawać na blacie podczas ugniatania) posypujemy je mąką, po czym dalej ugniatamy i na 45 minut wrzucamy do lodówki. Czas chwilowej wytchnienia warto wykorzystać na zapoznanie się z kroniką sądową sporu „Gazety Wyborczej” z „Tygodnikiem Solidarność” w temacie „inwigilacji i delegalizacji prawy” czy opowieści Katarzyny Surmiak-Domańskiej o powstawaniu reportażu o transwestycji. Wracając do kulinarnej rzeczywistości ciasto po wyjęciu z lodówki rozprowadzamy na formie do tarty (również po falistych bokach), wcześniej smarując ją margaryną. W takiej postaci wrzucamy do piekarnika rozgrzanego do 160-170 stopni i po ok. 15-20 minutach pieczenia, nakładamy farsz szpinakowy, posypujemy serem żółtym i ponownie pieczemy. Po 15 minutach tartę należy wyjąć z piekarnika i odczekać, aż wystygnie. Zapewniam, lepsza jest zimna :-)

Paweł H. Olek (112 kg)
redaktor naczelny

Przyslij na adres redakcja@redakcja24.pl swój mistrzowski przepis kulinarny oraz podaj swoją wagę.

Przygotujemy twoją potrawę, na kolegium redakcyjnym spróbujemy ją, po czym opiszemy na tej stronie.

redakcja
redaktor naczelny
Paweł H. Olek

sekretarz redakcji
Agnieszka Juskowiak

kierownicy działów:
public relations – Anita Karwowska
dziennikarstwo – Alicja Bobrowicz
fotografia – Edyta Ganc
kultura – Anna Grzywacz

zespół redakcyjny
Andrzej Berezowski, Tomasz Borowski, Jan Dąbkowski, Anna Grzywacz, Urszula Ginalska, Łukasz Janicki, Magdalena Karst, Adam Kisiołek, Patrycja Mic, Agnieszka Wójcińska

współpraca
Jan Brykczyński, Jolanta Chowaniec-Sośniak, Ewa Gampel, Magdalena Juszczak, Aleksandra Nagel, Sebastian Ogórek, Ewa Zbiegieni

stali felietoniści: Andrzej Zygmuntowicz, Zbigniew Żbikowski

vrstudio projekt graficzny: Waldemar Zieliński
skład i łamanie: vrstudio

wydawca
Instytut Dziennikarstwa
Uniwersytetu Warszawskiego
koordynator wydawcy
Grażyna Oblas

druk: Agora
nakład: 10 tys. egz.
fotografia na okładce
fotomontaż: Patrycja Mic/Waldemar Zieliński

adres redakcji
PDF – pismo warsztatowe
ul. Nowy Świat 69, pok. 51 (IV piętro),
00-046 Warszawa, tel. 022 5520293,
e-mail: redakcja@redakcja24.pl

wkrótce nowy portal internetowy:
www.redakcja24.pl



DZWONIĄC WYTRYCHAMI

RZECZY I SŁOWA

Zbigniew Żbikowski

Zaproszony do zajęcia miejsca w tym kąciuku, długo zastanawiałem się nad wejściem. Najpierw hamletyzowałem: wejść, albo nie wejść, oto jest pytanie. Później, przemysłiwując głębo, czy moment na wejście jest odpowiedni, odkurzyłem pytanie stawiane ongiś, w przełomowych momentach, przez leninowską lewicę: jeśli nie my, to kto, jeśli nie teraz, to kiedy? Oczywiście, jest to dylemat pozorny, bo już w samym sposobie zadania pytania tkwi nieznosząca sprzeciwu odpowiedź: jasne, że my, i że teraz (aż się ciśnie, by dodać: towarzysze!). Wreszcie, przechodząc od nuty internacjonalistycznej do narodowej, dywagowałem niczym Polska przed wstąpieniem do Unii Europejskiej: a jeśli teraz wejść, to z czym? Innymi słowy, jaki zastosować klucz, żeby to wejście było skuteczne, korzystne i efektowne. Na koniec, przparty do muru, zagrożony użyciem przymusu bezpośredniego, musiałem zapomnieć o mędrkowaniu oraz wyszukiwaniu bajeranckich kluczy i jak każdy dziennikarz, któremu czas ucieka, a redaktor wisi na karku, zastosować jakiś wytrych.

Dziennikarze przypierani do muru stosują na ogół wytrychy słowne. Jak każdy włamywacz-profesjonalista, w tym przypadku włamywacz do czytelnicznych umysłów, mają tych wytrychów cały zestaw. W tej dziedzinie, bowiem, wciąż pojawiają się jakieś wynalazki, a także panują określone tendencje i mody, toteż chcąc być na czasie, trzeba nieustannie uzupełniać swoją kolekcję. Autor z jednym wysłużonym wytrychem za wiele w prasie nie zwojuje. Do napisania szybkiej informacji potrzebuje ich co najmniej trzy: na wstęp, rozwinięcie i zakończenie.

Wytrychem, który w naszych mediach robi obecnie oszałamiającą karierę, jest czasownik zwrotny „szykuje się”, łączony najczęściej z rzeczownikiem „rewolucja”. Codziennie w polskich gazetach oraz serwisach telewizyjnych i internetowych „szykuje się” dziesiątki różnych „rewolucji”. Można rzec: żyjemy w kraju permanentnej gwałtownej przemiany, nieomal ruszając z posad bryłę świata (zwracam uwagę na warsztat felietonisty: lewicowa stylizacja w pierwszym akapicie wcale nie była przypadkowa). Autobus linii X pojedzie od poniedziałku na końcowym odcinku nieco inną trasą, a na linii Y wyznaczono kilka nowych przystanków? Dziennikarz wali jak z armaty: w komunikacji miejskiej szykuje się rewolucja. Przeprowadzono kosmetyczne zmiany w prawie podatkowym? Autor informacji nie ma wątpliwości: w podatkach szykuje się rewolucja, jakby minister finansów ogłosił nie progresję progów a odwrócenie skali podatkowej – im wyższe zarobki, tym niższy procent. W Gdańsku szykuje się rewolucja taksówkowa – donosi prasa: podwyżka ceny za wejście do trójmiejskiej „taryfy” wzrośnie od czerwca o 2 zł. Nie żartuję. Wpiszcie zwrot „szykuje się rewolucja” w Google, a zobaczycie.

Dla znawcy kuchni dziennikarskiej nie ma wątpliwości: „rewolucja” ma zachęcać do przeczytania nawet banalnej informacji, a bezosobowe „szykowanie się” ma na chwilę ukryć sprawców zamieszania, aby czytelnik mógł ich wykrzyć w środku lub pod koniec tekstu. Jednak, jak w przypadku każdego nadużywanego wytrycha, następuje szybkie „zużycie materiału” i niby elektryzujący wstęp banalizuje się. Dzisiaj, kiedy czytam i słucham (codziennie!) o tym, że coś się „szykuje”, interesuje mnie już tylko, co jeszcze śmiesznego można wymyślić „w temacie rewolucji”. Pomyślmy: „We Francji szykuje się rewolucja” (bo z listy trzech tysięcy serów skreślono cztery pozycje)? „W Petersburgu szykuje się rewolucja” (bo Pałac Zimowy zaatakowały meszki i mer nakazał zamykać okna)?

Zwroty-wytrychy w reportażu to śmierć dla tego gatunku dziennikarstwa. Wytrawny autor reportażu powinien więc unikać ich jak niezdrowej żywności (normalnie, posługując się wytrychami, należało by napisać: jak ognia). Bo dobry reporter powinien odkrywać przed czytelnikiem nie tylko nowe, niedostępne dla niego na co dzień obszary życia, ale także eksplorować świeże, nieprzeżute i nieużyte obszary języka.

No proszę, na koniec i klucz się znalazł.

PISMO NA WYDARZENIE

Organizacje szkolące młodych dziennikarzy tworzą media wydarzeniowe dla praktyki swoich warsztatowiczów. Organizatorzy wydarzenia wspierają takie projekty, żeby szybko zobaczyć imprezę oczami uczestników. Publikacje gazetowe czy internetowe relacjonują wydarzenia kulturalne, młodzieżowe i polityczne.

Jan Dąbkowski

W Polsce taką organizacją jest Stowarzyszenie Młodych Dziennikarzy „Polis”, współpracujące z tygodniowymi festiwalami filmowymi (Watch Docs, Żydowskie Motywy, Afrykamera) i dwutygodniowym warszawskim Festiwalem Nauki. Tworzy z nich relacje internetowe. Niemiecka „Jugendpresse” organizuje weekendowe pisma „politikorange”, opisujące kongresy, spotkania młodych i wydarzenia polityczne. Szwedzka Ung Media relacjonowała m.in. międzynarodowe konferencje młodych i szwedzkie kongresy polityczne.

Skrzynka REDBULLA na początek

Niemcy z Jugendpresse przygotowują koncept pisma z budżetem, liczbą stron, zagwarantowaną niezależnością, po czym idą do organizatorów podpisać kontrakt. Ci zazwyczaj dają pieniądze, a czasem też zupełną swobodę działania. – Przy jednym z numerów organizatorzy politycznego kongresu powiedzieli, że mają tylko 3 tys. euro na reklamę swojego wydarzenia w piśmie, więc mogą ją kupić u nas. Za to zorganizowaliśmy całą gazetę – mówi Jona Hoelderle, jeden z koordynatorów pisma wydarzeniowego „politikorange”. Innym razem fundusze czy granty są przeznaczane na konkretne cele – druk, hostel, posiłki. Wówczas rozlicza się je, odsyłając faktury czy rachunki, zbierając je szczególnie uważnie przy państwowych partnerach. Czasem w finansowanie pisma włączają się zewnętrzni sponsorzy, czy nawet reklamodawcy. – Zdobywanie reklam oznacza mnóstwo dodatkowej

pracy, więc raczej skupiamy się na dziennikarstwie – mówi Hoelderle. – Interesuje nas polityka, więc czasem relacjonujemy kongresy partii parlamentarnych. Mamy zasadę: pismo w tym samym roku ma opisać spotkania co najmniej trzech różnych partii. W sumie jest pięć. Wspierają nas niezależne fundacje mające poglądy zbliżone z partiami – dodaje. Forma współpracy z organizatorami wydarzeń przybiera częściej charakter nieformalny. Szwedzi z Ung Media i Polacy z Polis zazwyczaj dogadują się bez umów. – Jest wydarzenie, idziemy do organizatora, proponujemy zrobienie eventowej relacji. Mówimy: przejeżdża tylu reporterów, potrzebujemy tyle pieniędzy – mówi Elina Akerlind, koordynatorka szwedzkich pism wydarzeniowych. – Zazwyczaj na miejsce wydarzenia członkowie redakcji przejeżdżają z całego kraju. Wtedy organizatorzy opłacają im przejazd, nocleg i jedzenie – dodaje Akerlind. Czasem Ung Media dostają pieniądze dla koordynatora pisma i organizacji za udział w projekcie.

Pismo o festiwalu filmowym Watch Docs powstało dzięki współpracy Stowarzyszenia Polis z organizatorem filmowej imprezy – Helsińską Fundacją Praw Człowieka. Organizacje co roku współorganizują warsztaty i obozy dziennikarskie. Od pierwszych lat festiwalu powstawały relacje internetowe – po kilka tekstów o filmach i dyskusjach. Wejścia na projekcje filmowe zawsze są za darmo. Relacje tworzą warsztatowicze Polis, mniej doświadczeni jako dziennikarze, bardziej – redaktorzy i webmaster. Po kilku latach luźnych relacji powstało internetowe pismo „Domysły”, rozrosła się redakcja, a kolejne wydania zaczęto planować. – W innych pismach festiwalowych co

roku zmienia się redakcja. Tu zbiera się mniej więcej ta sama grupa bardziej doświadczonych i zainteresowanych prawami człowieka polisowców – opowiada Zuza Szybisty, koordynatorka „Domysłów”. Pismo powstaje siłami wolontariatu, bez obrotu gotówki. Raz udało się pozyskać kapitał zagraniczny i dzięki pieniądзом od niemieckiej fundacji Erinnerung, Verantwortung und Zukunft, na warszawski festiwal przyjechało pięcioro Niemców. Wspólnie z Polakami stworzyli anglojęzyczne pismo, które wyszło w nakładzie 7 tys. egzemplarzy. Niemcy zajęli się stroną finansową, czyli rozliczeniem podróży, noclegu, posiłków i druku. – To było najfajniejsze pismo, jakie tworzyłam – mówi Ania Sulewska-Toczyska, ówczesna sekretarz. – Skrzynka Red Bulli w redakcji, a pod koniec festiwalu wszyscy pijani ze zmęczenia, ale dumni i szczęśliwi. Byliśmy tak niedoświadczeni, że dogadaliśmy się z drukarzem na druk za dokładnie taką sumę pieniędzy, jaką mieliśmy, a on naturalnie wziął to po swojemu za cenę netto, a rachunek dał nam brutto. W rozpoczęciu współpracy z Afrykamerą i Żydowskimi Motywami pomogły przypadkowe kontakty. – Z jedną z organizatorek festiwalu filmów afrykańskich mam zajęcia. Opowiadałam jej o naszych projektach dziennikarskich. Dowiedziałam się, czym ona się zajmuje. Zapytała, czy nie zrobilibyśmy dla nich relacji – mówi Zuza Szybisty, koordynatorka internetowego pisma przy festiwalu Afrykamera. Organizatorzy Żydowskich Motywów przed pierwszą edycją skontaktowali się przez znajomego z zarządem Polis i zapytali, czy stowarzyszenie nie chciałoby stworzyć serwisu festiwalowego. Za to w kwestii relacji z Festiwalu Nauki, lobbowała animatorka polisowskich warsztatów Halina Bortnowska, publicystka związana z „Gazetą Wyborczą” i „Tygodnikiem Powszechnym”. Dyrektor FN dał pomieszczenie na redakcję, komputery z internetem i drukarką, pokrył koszty materiałów biurowych i telefonów. Na koniec przekazał drobne pieniądze sekretarzom koordynującym dwutygodniowy projekt. W kolejnych edycjach redakcja przeniosła się do lepszego miejsca. – Zaufanie organizatorów rośnie i wypuszczają nas coraz głębiej w projekt – mówi Ania Sulewska-Toczyska, sekretarz „Internetowej Gazety Festiwalu” (IGF). – Super, gdyby jeszcze udało się wywalczyć dla dziennikarzy choć minimalne stawki za tekst, np. 20 zł – dodaje. Na razie sekretarze zdobywają dla najbardziej aktywnych nagrody książkowe od Znak, Pascala, Prószyńskiego czy innych wydawnictw.

Kontakt z organizatorami warto nawiązać co najmniej miesiąc przed imprezą, choć jak mówi Elina Akerlind: – Nawet dwumiesięczne przygotowania są za krótkie i bardzo stresujące. Jona Hoelderle: – Praktykowaliśmy przygotowania od pół roku do trzech dni – wszystko jest możliwe!

Warto ustalić warunki współpracy – od swobody tworzenia, przez charakter mediów, do technicznych elementów i potrzeb.

Kocham moją gazetę, ponieważ...

Wydarzenie wybrane, czas na planowanie pisma – liczby stron, rodzaju tekstów. Trzeba też wybrać imprezy czy tematy, które chcemy zrelacjonować. Zajmuje się tym zaledwie kilkoosobowy zespół bardziej doświadczonych redaktorów. Target pism to uczestnicy wydarzenia, ale i ci, którzy nie mogą być na miejscu imprezy. Lepiej dobrze zaplanować i wyselekcjonować najciekawsze elementy eventu, niż próbować pokazać całość. – Wolę pokazywać imprezę od innej strony niż tylko dokumentowanie, czyli na zasadzie: jak było nudno, albo fajnie i żałujcie, że was tam nie było – mówi Jona Hoelderle. – Zamawiam świeże materiały z każdej części wydarzenia. Podczas wyborów nie mogliśmy zdobyć wywiadu z członkiem partii liberalnej, więc zapytaliśmy bardzo znanego profesora o tych samych poglądach na kogo będzie głosował. Powiedział, że na socjaldemokratów, bo jest zawsze po stronie przegranych. A przy kongresie o prasie zrobiliśmy fotoreportaż pt. „Kocham moją gazetę, ponieważ” z 13 powodami, m.in. do zdjęcia chłopaka siedzącego na sedesie i przeglądającego gazetę był komentarz: „bo jeszcze nie wszędzie mam internet” – kończy Hoelderle.

Szwedzi też stawiają na humor, gdyż chcą dotrzeć do młodych odbiorców. Jednak preferują całkowitą, dokumentacyjną relację. Zamieszczają teksty nawet na dwie strony, ale również wiele trzy, cztero-pytaniowych wywiadów.

– Na miesiąc przed Festiwalem Nauki dostajemy wstępną wersję programu i orientujemy się jacy „specjaliści” najbardziej by nam się przydali. Co roku jest inny temat przewodni – mówi Ania Sulewska-Toczyska. Trzeba zorientować się, na jaką grupę organizacyjnych redaktorów i reporterów można liczyć. Potem planuje się warsztaty dziennikarskie, które przygotowują początkujących reporterów i doszkalają byłych warsztatowiczów Polis. Trzydniowe zajęcia, jak i redakcję, animuje Halina Bortnowska. Jej warsztatowymi gośćmi są dziennikarze – zazwyczaj ktoś od nauki i reportaży. Informacje o szkoleniu dostają warszawskie szkoły wraz z informacją o festiwalu.



Basia Doraczynska i Ania Sulewska z „Internetowej Gazety Festiwalu”

Uczestnicy

Ludzie z warsztatów zorganizowanych na tydzień przed Festiwalem Nauki tworzą zespół reporterów „Internetowej Gazety Festiwalu”. – Czasem jeszcze dochodzą osoby, które zobaczyły reporterów na spotkaniu festiwalowym i dowiedziały się o gazecie albo ją przeczytały i postanowiły dołączyć – mówi Ania Sulewska-Toczyska. Dodatkowo kilkadziesiąt osób, członków stowarzyszenia i warsztatowych weteranów, „Polis” jest zapraszanych do udziału w każdej gazecie festiwalowej. Przy „IGF” pracuje około 50 osób – dwóch sekretarzy, którzy kontrolują ścieżkę tekstów i zajmują się zamieszczaniem ich na stronie, kilku redaktorów, kilkunastu redaktorów-reporterów, reporterzy i kilku fotografów, przy festiwalach filmowych pracuje po kilkanaście osób. Tak samo odbywa się rekrutacja w Szwecji i Niemczech. Mailing do członków swojej organizacji z całego kraju i spływające zgłoszenia. – Staramy się, żeby przy każdym wydarzeniu był inny skład, złożony z ludzi z całego kraju – mówi Elina Akerlind. – Przyjmujemy od pięciu do 15 osób, w wieku 14-24 lata – w zależności od projektu. – Czasem znajdzie się w zespole ktoś 27-letni, ale to wyjątki, kiedy doświadczeni redaktorzy chcą jeszcze wspomóc swoją organizację – opowiada Jona Hoelderle. – W skład wchodzi, oprócz reporterów, organizator projektu, dwóch głównych redaktorów, layouter i fotograf. Najważniejsi od jakościowej strony są ci dwaj ostatni, pojedynczy specjaliści. Jeśli któryś nawali, pismo będzie słabe.

Do drukarni po północy

Wymienione pisma kierują się zasadą „uczyć się, robiąc”. – Praca nad tekstem i zdobyte umiejętności są tak ważne jak powodzenie pisma – ocenia Ania Sulewska-Toczyska. Preferowany styl tekstów członków „Internetowej Gazety Festiwalu” ćwiczą podczas warsztatów. Przy festiwalach filmowych rodzaj tekstów i opisywanych tematów jest sugerowany przez redaktorów-koordynatorów pism. Ale, jako że wszystkie te pisma są warsztatowe, to jest tam miejsce na indywidualne próby opisu. Podobnie jest przy szwedzkich pismach: – Teksty zależą od każdego uczestnika i od grupy. Redaktorzy starają się, żeby to zagrało – mówi Elina Akerlind. Przy tworzeniu „politikorange” we właściwym napisaniu tekstów autorem broszurka-ściąga: jak zrobić wywiad, napisać raport, reportaży czy komentarz i jak uważać na niezależność.

Plan publikacji jest tworzony przed wydarzeniem. – Pokazujemy reporterom, że już coś jest przygotowane przez zespół redaktorski, ale mówimy też jasno, że we wszystko mogą się włączyć – mówi Anna Sulewska-Toczyska. – Gdy zbierze się redakcja, najpierw poznajemy się, budujemy atmosferę współpracy i staramy zorientować, komu można ufać, kto się czym interesuje itp. Potem rozdzielamy zadania wśród reporterów, uwzględniając ich wcześniejsze zgłoszenia i zainteresowania, ale przydzielając także po kawalku niechcianej, ale wartej opisania puli. Wszystkie z krótkimi deadline’ami, zależnymi od końca relacjonowanego spotkania. Internetowa gazeta jest aktualizowana na bieżąco – mówi Sulewska-Toczyska. Potem zlecenia trzeba kontrolować, żeby wiedzieć, kogo pospieszyć, gdzie posłać drugiego autora, gdy jeden jest niedyspozycyjny. – Bardzo ważny jest indywidualny kontakt w zespole – podkreśla sekretarz „IGF”. – Staram się wysyłać maile do pojedynczych reporterów, żeby wiedzieli, że są ważni i zależy mi na ich pracy. W ten sposób mogę dokładnie kontrolować proces powstawania tekstów. Na masowe maile nie każdy odpowiada – dodaje Sulewska-Toczyska. Bardziej doświadczeni powinni uważać na niepewnych swoich umiejętności początkujących, mających cienką skórę na krytykę. Festiwal trwa dwa tygodnie, więc wszyscy nie angażują się w jednym momencie. Sekretarze siedzą w redakcji od rana do wieczora, redak-

torzy przychodzą na umówione godziny – czasem na cały dzień, ale częściej na pół lub na parę godzin, potem inni. Po nich tekst jest czytany animatorce – Halinie Bortnowskiej, która zatwierdza większość tekstów. Gdy nie trzeba poprawiać, materiał dostaje sekretarz i wrzuca go na stronę.

Szwedzi w czasie imprezy tworzą nawet dwie gazety, 10-12 stronicowe dzienniki, więc deadline wydawniczy to co najmniej jeden dziennie. Ich spotkania redakcyjne są dość krótkie, szczególnie, gdy zespół jest mały. – Wcześniej się przygotowujemy, więc trzeba tylko szybko zorientować się, jakie są postępy i ewentualne problemy – mówi Elina Akerlind.

Przy papierowym „politikorange” deadline’y są właściwie natychmiastowe, rozłożone na każdą z kilkunastu-dwudziestu stron. – Tylko layouter naprawdę wie, kiedy jaki etap musi zakończyć – mówi Jona Hoelderle. – I jest najbardziej zestresowany, bo zazwyczaj materiały się opóźniają. Dlatego sam na początku stresuje wszystkich wcześniej na każdym z trzech spotkań w czasie dnia. Zajmują one jakieś pół godziny, w zależności od tego, ile tekstów jest do omówienia. Potem reporter przynosi zamówiony tekst, pracuje nad nim z redaktorem, dopóki nie będzie dobry. Tekst jest składany i gotowe kolumny są jeszcze raz czytane – mówi Hoelderle. – Na wszelki wypadek zawsze planujemy więcej materiałów, niż mamy miejsca. Plan jest taki, żeby skończyć pismo godzinę przed deadline’em drukarni. Żeby mieć numer o 8 rano w dzień wyjazdu, musimy go dostarczyć do 1 w nocy – dodaje.

Przybij piątkę

– Końcowa ocena projektu jest ważna nie tylko ze względu na ulepszenie pomysłów, ale także jako moment zamknięcia projektu – przybić piątkę, obejrzeć efekt, podziękować – mówi Ania Sulewska-Toczyska. – Ostatniego dnia, z pismem na stole, uczestnicy wypełniają formularze oceniające projekt. Potem oddzielnie spotyka się zespół redaktorów i koordynatorów pisma, często z organizatorami wydarzenia – mówi Jona Hoelderle. Z ewaluacji wynika, że tego rodzaju praktyka jest świetną szkołą szybkiego pisania. I fascynującym przeżyciem. A dla organizatorów: – „IGF” to kontakt z opinią osób spoza grona organizatorów – mówi prof. Maciej Geller, organizator Festiwalu Nauki. – Warsztaty poprzedzające gazetę, to taka mała impreza festiwalowa, dzięki której młodzi wolontariusze przekazują informację o całej reszcie festiwalu. „Domysły” wzbogacając informację o festiwalu – mówi Maciej Nowicki, dyrektor Watch Docs – oddają atmosferę i wrażenie życia, pokazując, że coś się dzieje. Dla nas są feedbackiem, jak grupa docelowa odbiera filmy i imprezę. Praktycznie możemy użyć pisma, jako dodatkowy argument przy zgłaszaniu się o granty.

Koniec zawsze ok

Czasem zobowiązania organizatorów nie są realizowane, dlatego warto być na miejscu projektu przed reporterami, żeby sprawdzić, czy wszystko jest i działa. – W Szwecji w ok. 99 proc. miejsc jest internet. Nasz problem to zapominanie o dodatkowych bateriach do aparatu czy odpowiedniej witce do sprzętu – mówi Elina Akerlind. Dobry koordynator musi być na to przygotowany. Tworzenie nocami, niedosypianie, brak czasu na spokojne dokończenie tekstu. – Najśmieszniejsze są zawsze niedotrzymania deadline’u. Czasem musimy kończyć łamanie pisma w taksówce, jadąc do drukarni – mówi Jona Hoelderle. – Podczas każdego projektu zdarzają się nieprzewidziane rzeczy, które wydaje się doprowadzać do katastrofy, a na koniec zawsze jest ok – mówi Szwedzi.

– Uwielbiam to zmęczenie, siedzenie po nocach, histerię i stres nad raniem, i płacz radości po wszystkim – kończy Elina Akerlind.

Jak odnieść sukces i przyciągnąć czytelników do internetowego pisma:

- założyć stronę internetową jeszcze przed wydarzeniem – niech czytelnicy przyzwyczajają się do niej;
- dynamizm – częste aktualizacje (inaczej grozi nam, nuda czytelników i słaba motywacja reporterów);
- dobry webmaster i grafik – sprawne wrzucanie nowych materiałów;
- promocja pisma – link na stronie imprezy, współpraca z mediami, ulotki;
- zachęta do przysyłania czytelnicznych komentarzy, by wiedzieć, co jest w porządku, a co do poprawienia.

Organizatorów warto prosić o:

- dostęp do programu imprezy z wyprzedzeniem (nawet wstępnych wersji);
- kontakty z gośćmi imprezy;
- bezpłatny wstęp na imprezę;
- miejsce redakcyjne z dostępem do internetu i drukarki;
- telefon lub pieniądze na karty telefoniczne typu prepaid;
- promocję medium wraz z wydarzeniem;
- produkcję dodatkowych materiałów promocyjnych;
- materiały biurowe;

Media drukowane nie obędą się bez dobrego fotografa i layoutera. Ci jednak muszą mieć odpowiednie oprogramowanie „politikorange” używa programu Indesign do składu i Photoshopa do obróbki zdjęć (w sumie o wartości ok 4 tys. zł). Z darmowych programów polecane są: Ragtime i Viva Designer do layoutu i Gimp do zdjęć. Za 20.000 egzemplarzy 16-stronnego pisma o formacie półgazetowym w pełnym kolorze Niemcy płacą 2.000 euro. Do tego dodają ok. 70 euro za podróż i 35 euro za dzień noclegu i wyżywienia dla jednej osoby. Jeśli to możliwe, biorą 200 euro dla koordynatora projektu, a jeżeli jest jeszcze więcej pieniędzy, to tyle samo dla redaktorów i layoutera.



UNG MEDIA.SVERIGE

Szwedzka organizacja młodych dziennikarzy powstała w 1999 i łączy szkolne pisma z całego kraju. Stara się chronić młode media przed cenzurą, pokazywać uczniom podstawy dziennikarstwa i najwyłowić ich do działania medialnego. Walczy ze stereotypowym obrazem młodzieży jako nieokreślonej masy. Chce, by młodzi ludzie byli postrzegani indywidualnie i mogli się sami wypowiadać i wpływać na społeczeństwo. Ung Media rozwinęły internetową bazę tekstów i zdjęć, a także sieć pism wydarzeniowych.



Historia organizacji młodych dziennikarzy w Niemczech sięga czasu tuż po II Wojnie Światowej. Jugendpresse gromadzi 16 lokalnych organizacji, które w sumie posiadają około 10 tys. członków. Przy udziale profesjonalnych dziennikarzy organizowanych jest około 300 szkoleń rocznie nt. tworzenia mediów przez młodzież. Od kilku lat 300-600 członków organizacji bierze udział w Dniach Młodych Mediów, co roku w innym mieście. Od 2002 roku wydawane jest pismo wydarzeniowe „politikorange”. Do tychczas powstały 73 numery w nakładzie od 50 do 50 tys. egzemplarzy.



Organizacja powstała w 1995 roku na bazie redakcji pisma „Polis” o sztuce życia publicznego i związanych z nią warsztatów dziennikarskich. Stowarzyszenie prowadzi regularne roczne warsztaty dla studentów i kilka razy do roku kilkudniowe zajęcia dla licealistów i gimnazjalistów. Co roku powstaje też kilka redakcji edukacyjnych, których efekty pracy wydawane są w internecie. W wakacje organizowany jest obóz dziennikarski. Stowarzyszenie tworzy międzynarodowe projekty w ramach European Youth Press.

Anglojęzyczne platformy internetowe do wykorzystania:

Na europejskim portalu Youth Week (www.youthweek.eu) zamieszczane są relacje z europejskich projektów młodzieżowych – nie tylko międzynarodowych. Wystarczy, że mają element istotny dla reszty Europy. Relację z nich mogą tworzyć teksty, zdjęcia, nagrania dźwiękowe i wideo. Można starać się o przyjęcie takich materiałów. Dla platformy medialnej „Orange” (www.orangelog.eu) stworzonej przez European Youth Press także nie ma znaczenia, czy wydarzenie zrelacjonują ludzie z wielu krajów, czy z jednego – ma to być interesujące. Tu także mamy dowolność w użyciu kanałów przekazu – trzeba tylko porozumieć się z organizacją nt. projektu.

Linki do mediów wspomnianych w tekście:

www.film.interia.pl/raport/afrykamera2007/recenzje
www.igf.waw.pl
www.politikorange.de
www.hhrpol.waw.pl/festival2005/recenzje.php
<http://www.jewishmotifs.org>

PRZEKONYWANIE NA NIBY

Jaki sens miała kampania public relations promująca w oczywistej sprawie poparcie starań Polski w organizacji mistrzostw Euro 2012? Czy 64,5 proc. entuzjastów - jeden z najniższych wskaźników wśród krajów kandydujących - to efekt działań kampanii czy naturalne poparcie społeczne? Jak przebiegała, a jak mogłaby wyglądać ogólnopolska kampania PR na poziomie europejskim?

Tomasz Borowski

Euro 2012 to temat numer jeden. Od chwili, gdy przewodniczący UEFA Michael Platini pokazał światu słynną już kartkę z napisem „Pologne – Ukraine” w Cardiff, cała Polska obserwuje nasze gospodarskie przygotowania. Z nadzieją lub z powątpiewaniem śledzimy plany budowy dróg, stadionów, hoteli. Niewielu z nas pewnie uświadamia sobie, że już na wiele miesięcy przed ogłoszeniem wyników, byliśmy namawiani do poparcia idei organizacji w naszym kraju Mistrzostw Europy.

Po co przekonywać?

W listopadzie 2005 roku znaleźliśmy się szczęśliwie w drugim etapie eliminacji do Euro 2012. Podobnie jak inne kraje kandydackie otrzymaliśmy od UEFA zestaw wymagań, które musieliśmy wypełnić wraz z informacją o procedurze wyłaniania gospodarza mistrzostw. Jednym z czterech najważniejszych kryteriów było wykazanie poparcia dla idei Euro 2012 wśród społeczeństwa polskiego. Zgoda Polaków na organizację wydarzenia tego formatu w pierwszym odruchu wydaje się oczywista. Kiedy jednak weźmie się pod uwagę brak odpowiedniej infrastruktury, konflikty polityczne w Polsce, niepokoje na Ukrainie, doniesienia o kolejnych aferach korupcyjnych w polskiej piłce, to potrzeba przekonywania o tym, że będziemy w stanie zorganizować największą imprezę sportową w Europie staje się coraz bardziej zasadna. Sztab Projektu przy Komitecie Wykonawczym Euro 2012 rozpoczął w lutym 2006 roku wstępne przygotowania do wyboru agencji PR, która wsparłaby działania projektu. Odkbyto szereg spotkań z przedstawicielami różnych agencji, aby wy badać możliwości rynku PR. Przetarg na przygotowanie naszego społeczeństwa do poparcia inicjatywy Euro 2012 wygrały agencje Scholz&Friends i Eskadra oraz dom mediowy ZenithOptimedia. System identyfikacji wizualnej oraz logo stworzyła agencja projektowo-doradcza Dragon Rouge.

Wyłonione w przetargu agencje podzieliły się zadaniami. Scholz&Friends odpowiedzialna była za kampanię ATL (od ang. Above The Line – część budżetu przeznaczona na reklamę w mediach tradycyjnych: prasie, radiu, telewizji i reklamę zewnętrzną), a swoją strategię oparła na regionalnych tradycjach Polski i Ukrainy. Grupa Eskadra zajęła się organizacją eventów oraz działaniami BTL (od ang. Below The Line – to tzw. media wspomagające, czyli: materiały promocyjne, internet, ulotki i katalogi, gazety ogłoszeniowe, gadzety reklamowe, direct mail, product placement, POS itp.), a reklamę w kanałach telewizji publicznej zorganizował dom mediowy Zenith Optimedia. Właściwym public relations zajęła się agencja Alert Media Communications.

Jak przekonywano?

Głównym zadaniem, jakie postawiono przed wykonawcami kampanii było poinformowanie i, co za tym idzie, przekonanie do idei EURO 2012 tych, którzy jeszcze o niej nie wiedzą i namówienie do zmiany zdania jej przeciwników. Kampania miała także zadbać o pozytywne nastawienie do sprawy mediów, autorytetów społecznych i osób, które będą miały wpływ na ewentualną organizację mistrzostw. Trudno dziś oszacować, na ile zadanie to wypełniono. Pojawiają się jednak głosy, że poparcie dla tego sportowego święta w Polsce nie do końca wynikało z przeprowadzonych działań PR. - Kampania była mało zauważalna – stwierdza prof. Jerzy Olędzki, kierownik Pracowni Marketingu Medialnego i Public Relations Uniwersytetu Warszawskiego - Wiele osób, w moim przekonaniu, do dziś nie wie, że ktoś kierował do nich apele o poparcie propozycji organizacji EURO 2012 w Polsce. Sam nie rozumiem, czym zasłużyliśmy sobie na otrzymanie takiego zaszczytnego zadania, za to w pamięci mam wciąż liczne doniesienia o korupcji w polskiej piłce. Jestem więc - może nieelicznym - przykładem niespełnionego celu prowadzonej kampanii, która ponoć kosztowała wiele milionów złotych.

Jak zatem nas przekonywano? Twórcy kampanii stwierdzili, że enumeratywne wyliczanie korzyści, jakie przyniesie Polsce organizacja EURO 2012 będzie nieskuteczne. Zdecydowano, że należy eksponować pozytywne emocje, zabawę i smak zwycięstwa, które niesie za sobą sport. Przekaz miał być prosty i zrozumiały dla wszystkich grup wiekowych (stąd na billboardach wizerunek dziewczynki i chłopca). Podkreślano nasze

mocne strony: świetni kibice, doskonałe warunki geopolityczne czy skala rynku Polski i Ukrainy wynosząca ponad 80 milionów potencjalnych klientów. Słabe strony: zły stan polskiej piłki, brak infrastruktury, dalekie odległości między obydwooma krajami, starano się przekuwać na pozytywty. Zły stan piłki poprawi się, gdy będzie nam dane zorganizować mistrzostwa, obiecywana infrastruktura w końcu powstanie, bo rząd dał nam swoje gwarancje, a odległości będą bodźcem, który zmodernizuje połączenia między Polską a Ukrainą, choćby poprzez budowę autostrad.

Głosy oddawane nogami

Abi osiągnąć jak najlepsze wyniki, kampanię przeprowadzono na około dziesięć dni przed badaniem opinii publicznej przez UEFA. Pierwszy jej etap trwał od października do grudnia 2006 roku i obejmował działania z zakresu BTL i ambient media, takie jak: akcja „Post it” czy „Szaliki”, flagi sektorowe na stadionach, oraz ATL: artykuły

w prasie, działania outdoor, wsparcie PR, oprawę programową w TVP 1, konkursy w mediach i szkołach oraz akcje w PKP i kasach biletowych.

Najgłośniejszym i najbardziej zauważalnym elementem kampanii były tak zwane bramki poparcia. „501 639 osób, w ciągu zaledwie 5 dni, wyraziło swoje poparcie dla polsko-ukraińskiej kandydatury do organizacji Mistrzostw Europy w piłce nożnej w 2012 r. Swoje głosy na polską kandydaturę nadal można oddać „nogami”. W tym celu wystarczy przejść pod jedną ze specjalnych Bramek Poparcia, które jeszcze przez dwa dni stać będą w Warszawie, Gdańsku, Poznaniu i Wrocławiu” - informowali organizatorzy akcji. Bramki odnotowały w sumie ponad 700 tysięcy głosów w ciągu zaledwie tygodnia. Akcję „Szaliki” zorganizowano już tylko na ulicach Warszawy. Event polegał na rozdaniu osiemu tysiący szalików promujących Euro 2012 przechodniom, oraz namówienie ich do stworzenia jednego wielkiego „Jańcucha poparcia”. Finałowa wersja szalika ciągnęła się od Kolumny Zygmunta na starym mieście po jedyną warszawską



palmę na Rondzie De Gaulle'a. Event miał zaistnieć w mediach dzięki nagłośnieniu informacji o próbie bicia rekordu Guinnessa na najdłuższy na świecie szalik kibica. Polaków miały także przekonać małe zielone karteczki post it rozwieszane w różnych miejscach w kilku miastach kraju, na których oprócz hasła wzywających do

Emocje, rywalizacja, smak zwycięstwa – pierwsze, najprostsze skojarzenia ze sportem. Nic dziwnego, że coraz więcej firm chce, by ich nazwa była kojarzona z jakąś sportową drużyną lub dyscypliną sportu.

Barclays - jeden z największych brytyjskich banków, by poprawić swój wizerunek i przyciągnąć klientów indywidualnych, postanowił związać się z angielską piłką nożną (zainteresowanie tą dyscypliną sportu na wyspach to 90 proc.). Bank zaczął od sponsorowania brytyjskiej Premiership, ale wkrótce rozszerzył działania o PR. Kampanię, opartą na zasadzie KISS (*Keep It Simple Stupid*) – prostą w odbiorze, ale jednocześnie efektywną, zorganizowała firma Lexis. Prowadzona była głównie z wykorzystaniem dzienników lokalnych i tabloidów, które najlepiej i w najprostszym sposób trafiają do czytelnika. Tworzyło ją kilka projektów:

- **Ticket Competition** – party na założeniu, że największym marzeniem fana futbolu jest uczestnictwo w meczach brytyjskiej Ligii, polegał na zamieszczeniu prostych ogłoszeń w prasie lokalnej, które zachęcały kibiców do wysyłania SMS-ów, by otrzymać darmowy bilet na mecz. Akcją przyniosła spodziewany skutek i do organizatorów spłynęło tysiące zgłoszeń.
- **Free Kids** skierowany był do małych miasteczek. Barclays podjął się sponsoringu amatorskich i szkolnych drużyn piłkarskich, pokazując, że piłka to nie tylko wielkie gwiazdy i mecze pierwszoligowe, ale również zabawa dla każdego. Działanie takie miało podkreślić, że wielki bank troszczy się nie tylko o losy Premiership, ale również o zwykłych amatorów piłki nożnej.
- **Trophy Tour** – tournée mistrzów angielskiej piłki po miastach i miasteczkach. To niepowtarzalna okazja dla kibiców, by z bliska zobaczyć swoich idoli, i by choć na chwilę dotknąć mistrzowski puchar.
- **Manager & Player of the month** - Lexis zaproponowała ufundowanie pucharu dla najlepszego trenera i piłkarza miesiąca. W projekt zaangażowano fanów, którzy za pośrednictwem smsów, telefonów i kuponów mogli głosować na najlepszych zawodników. Akcja weszła na stałe do tradycji Barclays Premiership.
- **Chant Laureate** - event, który miał podkreślić zmianę sponsora Premiership z Barclaycard na Barclays, konkurs na najlepszą piosenkę stadionową. Nagrodą była możliwość odwiedzenia najważniejszych angielskich stadionów. Piosenka musiała być wypiewana osobiście i wysłana w formie nagrania do organizatorów. Zasięg tej akcji przeszedł najśmielsze oczekiwania. Zamiast spodziewanych 1,5 tysiąca zgłoszeń, nadesłano ich ponad 10 tysięcy.

Prowadzona w 2004 roku kampania odniosła oszałamiający sukces. Informacje prasowe pojawiły się między innymi w „The Guardian”, „The Times”, „The Sun”, „The Daily Mirror”, w „BBC Breakfast”, „BBC 1 O'clock”, „Channel 4 News” i w wielu lokalnych tytułach. Zasięg akcji zmierzono poprzez policzenie nakładów gazet, w których pojawiły się wzmianki o projektach Barclays. W 86% gazety zawierały słowa kluczowe takie jak „Trophy Tour”, „Barclays” czy „Premiership”.

Ostatnio bank promuje się poprzez budowę ośrodków sportowych w małych miejscowościach, stwarzając młodym ludziom możliwość sportowego rozwoju pod sztandarem Barclays. Projekt „Spaces for Sport” pochłonie ponad 30 milionów funtów i będzie największą akcją sponsoringową tego typu w Wielkiej Brytanii. W ramach projektu, ufundowano również nagrodę dla miejscowych bohaterów (*Local Hero Award*), którzy starają się tworzyć lepsze miejsca dla uprawiania sportu w swojej społeczności.

Zaangażowanie miast

Jednym z zabiegów strategicznych kampanii było wykorzystanie osób świadomych i entuzjastycznie nastawionych do pomysłu, jako naturalnych animatorów, którzy swoją postawą zachęcali innych do popierania inicjatywy Euro 2012. Kto mógłby być bardziej zainteresowany pomyślnością polskiej kandydatury niż miasta – ewentualni przesłzi organizatorzy i beneficjenci mistrzostw? Aktywny udział Warszawy, Gdańska, Krakowa, Poznania czy Chorzowa w promowaniu idei mistrzostw nie był bez znaczenia. Na temat zaangażowania Poznania pisała m.in. „Gazeta Wyborcza”, zwracając uwagę na niezwykłą mobilizację mieszkańców. Już wiosną 2006 roku wszyscy redaktorzy naczelni poznańskich gazet podpisali list poparcia dla idei Euro 2012, a kiedy miasto odwiedziła delegacja UEFA, na Placu Wolności została otoczona grupką rozentuzjasmowanych dzieci. Władze miast organizowały na własną rękę liczne imprezy sportowe, przy okazji których mówiono o kandydaturze Polski i Ukrainy. - Miasto zorganizowało szereg wydarzeń, których celem była promocja idei Euro 2012 - mówi Małgorzata Sieńko z krakowskiego biura promocji miasta. Były to m.in.: I edycja Turnieju Piłkarskiego Miast Kandydatów - Gospodarzy Mistrzostw „Pokolenie EURO 2012”, rozgrywki sportowe w ramach Krakowskiej Olimpiady Młodzieży, akcja piłkarska „Gramy Wszyscy, Gramy Wszędzie, Gramy Razem” czy Ogólnopolskie Turnieje Piłkarskie Silver Cup i Polonia Cup.

W promocję Euro 2012 włączyły się też firmy prywatne. Przykładem może być Grupa Żywiec, która razem z PKP zorganizowała akcję promocyjną w postaci kolorowych nakładek na bilety, na których oprócz hasła informujących o mistrzostwach, była też reklama Muzeum Browaru w Żywcu. Nie ma się co dziwić, swoją drogą, temu zaangażowaniu. Pytana o powody włączenia się w promowanie idei Eliza Panek stwierdza: „Spragnieni nowych doświadczeń turyści i kibice chętnie sięgają po lokalne piwa. Będzie to więc doskonała okazja do wypromowania wśród nich polskich produktów. Liczymy, że kiedy opadną sportowe emocje kibic - turysta, po powrocie do ojczyzny odnajdzie w swoim sklepie poznane w Polsce piwa.”

Przekonani?

Badanie poparcia społecznego dla idei Euro 2012 przeprowadzone przez UEFA wykazało, że 85,4 proc Ukraińców i 66,4 proc Polaków popiera wspólną kandydaturę naszych krajów (dla porównania – we Włoszech – 92 proc, w Chorwacji – 83 proc, na Węgrzech – 45,5 proc).

Czy sprawiła to kampania, która nas do poparcia idei mistrzostw namawiała? Zdaniem prof. Olędzkiego nie.- Animatorzy tej kampanii sami nie wierzyli w sukces i dlatego prowadzili tak nieśmiało działania. Głośno o EURO 2012 stało się dopiero w dniu ogłoszenia w Cardiff zwycięstwa Polski i Ukrainy. Przez kolejne dni za to do znudzenia powtarzano ten sam moment odczytywania nazwy naszego kraju. Słodycz satysfakcji z tego wyboru przyćmiły jednak złośliwe plotki dziennikarskie, że o szali zwycięstwa tak naprawdę zdecydowała tylko determinacja ukraińskich działaczy i ich niebagatelny sponsorski wkład finansowy.

Zadowolony z podjętych działań wydaje się za to Minister Sportu Tomasz Lipiec, od którego Grupa Eskadra otrzymała podziękowania „za wkład pracy oraz zaangażowanie w przygotowanie polskiej oferty na organizację Mistrzostw Europy w piłce nożnej UEFA Euro 2012”.

Przez blisko trzy tygodnie próbowaliśmy porozmawiać z Agnieszką Libor z agencji Alert Media, odpowiedzialnej za PR Euro 2012. Była nieosiągalna.



INSTYTUT DZIENNIKARSTWA

UNIwersyteT U
WARSZAWSKI EG O

zaprasza wszystkich zainteresowanych na trzyletnie
STACJONARNE STUDIA DZIENNIKARSKIE PIERWSZEGO STOPNIA
oraz **NIESTACJONARNE STUDIA DZIENNIKARSKIE PIERWSZEGO
STOPNIA (w trybie wieczorowym)**

**Absolwenci będą mieli możliwość kontynuowania nauki
na dwuletnich studiach magisterskich prowadzonych
w Instytucie Dziennikarstwa UW w trybie dziennym
(stacjonarne), wieczorowym i zaocznym.**



W roku akademickim 2007/2008 Instytut Dziennikarstwa w ramach kierunku dziennikarstwo i komunikacja społeczna będzie rekrutował na następujące specjalności ·

DZIENNIKARSKA

Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych, Uniwersytet Warszawski
ul. Nowy Świat 69, 00-046 Warszawa, www.id.uw.edu.pl,
rekrutacja@id.uw.edu.pl

· **PUBLIC RELATIONS I MARKETING MEDIALNY**

· **FOTOGRAFIA PRASOWA, REKLAMOWA I WYDAWNICZA**

Dzieło przypadku. Piotr Najsztub



rys. Adam Kisiołek

Magdalena Karst

Moje życie zawodowe jest dziełem przypadku i historii. Stawałem się dziennikarzem w momencie, kiedy Polska otrząsała się z PRL-u. Następowala wielka wymiana i wielu ludzi zmieniano zawody i miejsca pracy.

Mieszkalem w Poznaniu. Tam skończyłem grafikę na ASP. Miałem dwadzieścia osiem lat i nieuporządkowane artystyczne życie, kiedy przyjechałem do Warszawy na urodziny kolegi, Jasia Dybczyńskiego. Przyjechałem na jeden dzień, zostałem na kilka lat. Jasiu był wówczas szefem działu reklamy i promocji niedawno powstałej „Gazety Wyborczej” i na tych urodzinach zjawilo się cale towarzystwo związane z „Gazetą”. Kiedy poszedłem spać, Jasiu, nie pytając mnie o zdanie, postanowił zrobić ze mnie ludzi i ułożyć mi życie. W ciągu tej nocy namówił Romka Kurkiewicza, ówczesnego zastępcę szefa działu politycznego „Gazety”, żeby przyjął mnie do pracy. Miałem wątpliwości, ale pomyślałem, że spróbuję. Spróbowałem i ugrzęzłem w „Wyborczej” na dłużej.

„Gazeta” była naturalną kontynuacją młodzieńczego buntu, który wepchnął mnie na stronę barykad pod tytułem „opozycja”. W latach osiemdziesiątych byłem zaledwie małym jej trybikiem, ale miałem sporo znajomych z tamtych czasów. Wśród nich był Adam Michnik. Myślałem, że zostałem w „Gazecie” na tak długo przede wszystkim ze względu na niesamowitość „zestaw ludzi”. Spodobał mi się ten przeskok do świata pełne-

go ludzi, którzy wymagają intelektualnego wysiłku, błyskawicznego namysłu i celnych ripost, tym bardziej, że wcześniej przez parę lat wiodłem życie pustelnika i nie funkcjonowałem w żadnej grupie. Jako tzw. artysta poszukiwałem bezustannie czegoś w sobie, a dziennikarstwo dało mi oddech od samego siebie. Początkowo traktowałem więc to moje nowe zajęcie jak przygodę, która pozwoli mi przez chwilę pożyczyć życiem innych ludzi.

Szybko zorientowałem się, że to coś znacznie więcej niż praca, że dziennikarstwo to żywioł, który powoli mnie wciąga. Zdarzały się tygodnie, że rozkładałem na biurku karimatę i spałem w redakcji. Nie byłem wyjątkiem. Wielu z nas miało wtedy jakiegokolwiek życie osobiste – wszystko robiliśmy razem, a wieczorami jeszcze wspólnie imprezowaliśmy. Właściwie to tylko osobno spaliśmy, choć nie wszyscy, bo redakcja była też miejscem, gdzie się romansowało. Mieliliśmy po trzy koszuły i po dwie pary spodni. Nie potrzebowaliśmy wiele do szczęścia. Ten konsumpcjonizm w świecie dziennikarskim pojawił się dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych. Potrzeba robienia pieniędzy okazała się silniejsza niż potrzeba uczestniczenia w czymś ważnym. Wtedy, na początku lat dziewięćdziesiątych, świat wyglądał zupełnie inaczej. Kiedy u steru rządów byli liberałowie, symbioza pomiędzy politykami a dziennikarzami była bardzo duża. Wtedy wydawało nam się to czymś naturalnym – przecież walczyliśmy o to samo. To byli nasi koledzy, z którymi wieczorami bawiliśmy się na tych sa-

mych imprezach. Pamiętam, że na jednej z nich Tomasz Lis tańczył i śpiewał na stole, a premier Krzysztof Bielecki, ledwo podnosząc głowę, próbował mu wtórować. Ale na drugi dzień wszyscy wróciliśmy do swoich ról, poszliśmy do Sejmu i ujadaliśmy na siebie nawzajem.

Byłem w „Gazecie” takim człowiekiem od innego widzenia rzeczy. Kiedyś wysłano mnie, żebym zrobił relację z mszy za ojczyznę. A zrobić taki materiał było trudno i nudno. Nie wiedziałem jak to ugryźć – to był taki podniosły bełkot o wolności. Uczepiłem się pieśni patriotyczno-religijnej, którą inaczej śpiewano w czasach zniewolenia („Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”), a inaczej w czasach wolności („Ojczyznę wolną pobłogosław nam Panie”). Skupiłem się na tym, który członek rządu, jaką wersję śpiewa. Patrzyłem im na usta i zaobserwowałem, że ci najbardziej zajadli z premierem Olszewskim, Macierewiczem i Parysem na czele, śpiewali „racz nam wrócić Panie” – oni najwidoczniej wciąż żyli w zniewolonym kraju, który chcieli wyzwolić. Natomiast ci bardziej umiarkowani i rozumiejący, co się wokół nich dzieje, śpiewali „pobłogosław” – oni już żyli w wolnej ojczyźnie.

Miałem w „Gazecie” różne fazy – od przypadkowego pracocholizmu po lenistwo - kiedy odzywała się we mnie artystyczna dusza. Po kolejnej fali nicnierobienia wysłano mnie do Poznania. Chyba za karę. Wszyscy mieli mnie już dosyć, szczególnie Helena Łuczywo, która uważała, że skoro mi płaci, to powinienem jednak czymś się zająć. W Poznaniu zaczęliśmy razem z Mackiem Gorzelińskim robić materiały i tak powstały dwa teksty, po których ludzie zaczęli mnie rozpoznawać: „Korupcja w policji poznańskiej” i „Państwo Elekromis”. Jak się okazało po latach, to były pierwsze reportaże śledcze w Polsce. Awansowałem na publicystę „Gazety”. W osobnym pokoju, gdzie pracowali publicyści, poznałem Jacka Żakowskiego. Obaj bardzo się tam nudziliśmy i z tej nudy zrodził się pomysł programu telewizyjnego. Udaliliśmy się z tym do Wieśka Walendziaka, który nie bardzo wierzył, że to się może udać, ale machnął ręką i powiedział: próbujcie. Walendziak kupił mi pierwszą marynarkę. Chciał, żebym wyglądał jak człowiek. To było dwanaście lat temu, a jakieś dwa lata temu przyszedł do mnie komornik, który zażądał zwrotu pieniędzy za tę marynarkę. Naturalnie z odsetkami.

Jestem dziennikarzem od siedemnastu lat. Nawet przez chwilę nie czułem potrzeby zmieniania świata. Co najwyżej chciałem ten świat obdzierać z zakłamania. To wcale nie jest takie trudne – wystarczy pamiętać. Na Pomniku Stoczniovców w Gdańsku wyryte są słowa Czesława Miłosza: „Poeta pamięta”. Dzisiaj rolę tego poety pełni dziennikarze. Pamięć w tym zawodzie jest bardzo ważna. Można oczywiście powiedzieć, że jest w tym jakieś poczucie misji, ale ja przede wszystkim nie chcę pozwolić politykom robić z siebie wala: skoro pamiętam, to niech mi nie wmawiają, że było inaczej.

Nie mam mistrzów wśród dziennikarzy i ich w tym zawodzie nie szukam. Choć już od wielu lat nie jestem artystą, to jednak wciąż uparcie wierzę, że prawdziwym życiem jest tworzenie. To świat sztuki, wbrew pozorom, jest dalece bardziej prawdziwy niż dziennikarstwo. I tam potrzebni są mistrzowie. Natomiast ja, jako dziennikarz, muszę być jak najbardziej sobą. Najważniejsze w tym zawodzie to nie dać się uśrednić. Dobry dziennikarz powinien czerpać z samego siebie i do wszystkiego co robi, powinien przykładać swój własny świat. Dlatego kształcenie się na dziennikarza uważam za bezsensowne.

Czasami czuję się jak krokodyl Dundee, który trafił do świata cywilizowanego i tylko przez to, że był inny, stał się kimś wyjątkowym. Nie myślę o sobie, jako o człowieku, który odniósł sukces, ale jak o kimś, komu, póki co, się udaje. Zawsze czułem się dzieckiem szczęścia, ale dzieci szczęścia w którymś momencie przestają nimi być. Więc czekam na ten moment. Ale skłamałbym, gdybym powiedział, że się niecierpliwie.

P.S. Piotr Najsztub jest przeciwnikiem autoryzacji. Tekstu nie autoryzował.



BYŁAM, SŁYSZAŁAM, WIEM

Konkret kontra emocje. Fakty kontra bajdurzenie niedouczonej komentatorów. Czasem słyszy wprost: „nie lubię pani”, ale zupełnie się tym nie przejmując, od osiemnastu lat uprawia polityczną analizę. O swoim gatunku opowiada Janina Paradowska.

rozmawiała Alicja Bobrowicz

Chce pani spotkać się z kimś ważnym w państwie, bierze słuchawkę, mówi „Paradowska” i każde drzwi się otwierają. Tak to wygląda?

Po osiemnastu latach zajmowania się polityką drzwi otwierają się przede mną dość łatwo. Mam mocno wypełniony notes z telefonami. Dorobkiem zawodowym jest także wzajemne zaufanie pomiędzy mną a różnymi osobami. Oni wiedzą, że nie nadużyję informacji. Wyznają zasadę, że kiedy polityk zostaje premierem czy ministrem, to nawet jeżeli dobrze go znam i mam jego telefon komórkowy, dzwonię przez sekretariat. Uważam, że inaczej po prostu nie wypada.

Jak pani tę pozycję budowała?

Nam było łatwiej niż dziennikarzom startującym teraz, gdy wszystko jest zrutynizowane i sformalizowane. Polityka jest pozornie przejrzysta i dostępna, ale w rzeczywistości mocno się stabilizowała i teraz chodzi tylko o pół zdania rzuconego do mikrofonu na korytarzu. Kiedy zaczynałam, działały się rzeczy wielkie. Sejm kontraktowy zgromadził niemalże całą polską elitę. Politycy opozycyjni byli rządnymi kontaktów z prasą. Mimo że istniał podział na dziennikarzy wywodzących się z prasy PRL-u – do których ja należałam – i tych z prasy podziemnej, to mam wrażenie, że był on stanowczo mniejszy niż dzisiejsze podziały. Mieliliśmy czas na poważne rozmowy, które pokazywały sposób myślenia polityków i ich zamiary. Mogliśmy dobrze ich poznać.

Czy można powiedzieć, że uczyliście się polityki razem z politykami?

To prawda. Trzeba było przededefiniować dotychczasowe myślenie, bo wcześniej nie było polityki, ale wytyczne służące do „ubijania piany” po jakimś partyjnym wydarzeniu. Opisywanie polityki zaczynało się od sprawozdawczości sejmowej, której dziś już nie ma, ale każdy szukał własnej formy, własnego sposobu analizy, opisu tego, co się dzieje. Zaczęłam czytać przedwojennych sprawozdawców parlamentarnych, ale okazało się to nieprzydatne, bo to inna temperatura, inny język, inny sposób obrzowania. Pojawiała się też naturalna pokusa pójsia w drwinę. Wtedy, by założyć partię, wystarczyło zebrać pięć osób i mieć faks. Często zadaje sobie pytanie, czy nie wyrzadziliśmy szkód tej demokracji, nieco przesadzając w pokazywaniu różnych śmieszności. Gdy czytam dzisiaj swoje teksty sprzed lat, choćby przy ostatnich sporach między III a IV RP próbując sobie przypomnieć jak postrzegałam rodzenie się III, to zastanawiam się, czy sama nie przesadzałam w zbyt ostrym widzeniu spraw, czy dostrzegałam ich sedno.

Teraz, z tą wiedzą i doświadczeniem, czy ciągle jeszcze przygotowuje się pani do napisania tekstu?

Mam taki odruch, że zawsze biorę odpowiednią teczkę z archiwum. Czasem jej nie otwieram, ponieważ okazuje się, że dużo siedzi w głowie – mam dosyć długą i dobrą pamięć. Dla mnie zawsze najcenniejszym źródłem jest kontakt z ludźmi, rozmowa z aktorami wydarzeń. Kiedy coś się dzieje, to staram się porozmawiać, bo wiedza papierowa to za mało. Trzeba ją weryfikować.

Wie pani, kiedy polityk kłamie?

Politycy mają w ogóle skłonność do kłamstwa, ale bardzo łatwo wyczuć, kiedy ktoś mówi wyłącznie propagandowe teksty. Moje rozmowy z politykami, przynajmniej z częścią z nich, są rozmowami partnerskimi polegającymi na wymianie opinii. Często to nie są wywiady do druku i oni mają tego świadomość. Staram się wtedy zwerifikować pewien obraz medialny, dowiedzieć się, co jest intencjonalne, co prawdziwe, co nie. Wszystko zależy od stopnia zaufania polityka do dziennikarza.

Ktoś starał się panią przechrztyć?

Zawsze się staraję. Polityk próbuje sprzedać swoją wizję, nieważne, czy jest się z nim w dobrych relacjach i czy rozmawia się otwarcie. To jest nieuchronne. W jego interesie jest pokazanie, że ma pogląd. Moją rolą jest się temu przyjrzeć. Czasem politykowi zależy na tym, żeby dziennikarza na coś napuścić, wrzucić mu informację. Ja, pracując w tygodniku, jestem dla nich pod tym względem nieinteresująca. To raczej zagrożenie dla dziennikarzy newsowych.

Podobno potrafi pani umówić się z politykiem na kawę czy obiad, a potem w swoim tekście zupełnie go skrytykować. I nikogo to nie dziwi, nikt się nie obraża.

Ależ oni się obrażają. Mam na przykład niesłuchanie skomplikowane „życie uczuciowe” z Jarosławem Kaczyńskim. Znam go od początku lat 90. Kiedy zakładał Porozumienie Centrum nie krytykowałam go wówczas, przeciwnie, mówiłam, że to jest rozsądny projekt. Uznał wtedy, że jestem dziennikarzem wyjątkowo mu sprzyjającym. Mieliliśmy bardzo dobre relacje. Do tego stopnia, że w imieniu Jana Olszewskiego proponowano mi, żebyśmy została rzeczniczką rządu. Potem, gdy zaczęłam go krytykować, mówił mi wprost: „nie lubię pani”. Nasze relacje znów się poprawiły, gdy nie krytykowałam koalicji z Samoobroną, bo wydawała mi się ona spójna programowo i elektoratowo. Rozmawiał z mną szczerze. Teraz, kiedy krytykuję, pewnie znów mnie nie lubi. Tego nie dociekam, bo to nie mój problem. A swoją drogą uważam, że takie napięcie między dziennika-

rzem a politykiem jest potrzebne.

Często pani bywa w Sejmie?

Coraz rzadziej. Mam poczucie, że nawet, jeśli dzieje się coś spektakularnego, moja obecność tam nie jest potrzebna. Chodziłam do Sejmu, kiedy interesowały mnie posiedzenia jakiejś komisji, pewne debaty plenarne, ale potem doszłam do wniosku, że szybciej jest przeczytać stenogram. Chodzę na debaty polityczne lub w dni sejmowe, gdy chcę się z kimś spotkać. Niestety jest coraz mniej ludzi, z którymi mam ochotę porozmawiać.

W 2002 roku mówiła pani „ten Sejm jest pustynią.” A jak jest dziś?

Sejm staje się pustynią intelektualną i polityczną. Jest coraz mniej posłów, którzy rozumieją politykę, rozpoznają mechanizmy nią rządzące, potrafią prognozować. To by mnie interesowało. Tych, którzy są od lat, dobrze znam, a rozmowa z tymi nowymi jest jak odbijanie się od ściany. Czym mnie może zainteresować Andrzej Lepper? Powie czasem więcej o stosunkach wewnątrzkoalicyjnych, ale nie muszę już śledzić każdego drgnięcia koalicji, bo mam wyrobione zdanie o tym, jakie procesy w niej przebiegają.

Rozmawia pani z aktorami wydarzeń i mnóstwo pewnie czyta. Jak to selekcjonować?

Dość regularnie czytam stenogramy sejmowe, które mnie interesują. Rzucam okiem na porządek obrad. Często na ważne rzeczy zwracając mi uwagę sami posłowie, członkowie komisji. Dzwonią z informacją, że jest sprawa, którą warto by się zainteresować. Przeglądam gazety, ale coraz mniej czytam, bo mam takie poczucie, że wiele nowego się nie dowiaduję. Nawet mniej oglądam telewizji, bo polityka jest powtarzalna. Jak widzę ministra Ziobrę dwa, trzy razy jednego wieczoru to nie sądzę, że on mi ma jeszcze cokolwiek do powiedzenia. Raczej rejestruję pewne wydarzenia, a potem składam sobie w głowie, jaki z tego może się urodzić temat.

Korzysta pani z opinii politologów?

To jest jedno z nieszczęść polskiej polityki, że socjologowie i politogowie, podobnie jak politycy, stali się komentatorami bieżących wydarzeń. Media chętnie ich zapraszają, bo tytuły naukowe przydają wagę i w związku z tym wielu uprawia po prostu polityczną chałturę. Naukowcy, eksperci rzeczywiście prowadzą badania, jak Radosław Markowski, który bada polskie wybory, prof. Domański, zajmujący się zachowaniami elit, pani prof. Maria Jarosz, czy dr Jacek Raciborski rzadko występują w telewizji. Nie znam dorobku naukowego tych, którzy występują jako komentatorzy w gorli i aureoli

„Staram się opisywać politykę tak jak ona się dzieje, bo jest bytem realnym. Trzeba go uporządkować i opisać, jeśli się da, podać jakąś prognozę. Lubię zdyscyplinowane myślenie.”

tytułów naukowych. Opowiadają bzdury, bo nawet nie weryfikują swojej wiedzy poprzez rozmowę z politykami. Ja potrzebuję analizy pewnych procesów, wyników badań – komentarz polityczny zrobić może nawet lepszy niż nie jeden doktor socjologii, który błyszczy dzisiaj w mediach.

Jakie inne dziedziny wiedzy są potrzebne w pracy publicysty politycznego?

Ten zawód to ciągłe uczenie się z wielu dziedzin, choć oczywiście ze świadomością, że robi się to po lebkach. Mogę nie znać np. zasad refundacji leków, ale wiedzę o reformie zdrowia muszę mieć, żeby wiedzieć, czy dobrze jest przeprowadzana, co źle działa, itd. Mnie bardzo brakuje w tej chwili wiedzy ekonomicznej i tego staram się poduczyć, bo uważam, że wielu procesów bez niej nie da się zrozumieć. Trzeba wiedzieć, o czym się rozmawia, bo inaczej rozmówcy zaczynają wciskać ciemnotę.

Ma pani już zebrany materiał, porozmawiała z aktorami wydarzeń, przeczytała to, co konieczne. Co dalej?

Siadam przy komputerze, a komputer strasznie człowieka rozleniwia. Kiedyś, gdy się pisało na maszynie, to trzeba było mieć gotowy tekst w głowie. Zwłaszcza w dzienniku, kiedy drukarnia nie przyjmowała tekstu, jeśli miał więcej niż trzy poprawki na stronie. To wymagało dyscypliny umysłowej. Zanim jednak siadę do pisania, muszę znaleźć pomysł, syntezę, którą ułożę tekst. Pisałam ostatnio o Trybunale Konstytucyjnym („Bój nieostatni”, Polityka nr 20/ 19 maja 2007 - red). Dla mnie najbardziej dojmującym przeżyciem były puste fotele sędziów. One mi zobrazowały, że to jest pewna polityka. To nie tylko dwa puste fotele w Trybunale. To symbol tego, że lustracja ma sprawić, by tych pustych foteli na uczelniach, w dziennikarstwie zrobiło się więcej. Takiego obrazu szukałam i to był mój klucz do tekstu. Niestety najlepsze pomysły przychodzą tuż przed zanięciem i nie zawsze się chce wstać, żeby je zanotować, a rano one znikają. I to jest problem publicysty politycznego.

Kiedy pani znajdzie ten klucz, to pisanie idzie już z górki?

Tak. Oczywiście zmieniam jeszcze i poprawiam. Poza odnalezieniem sposobu na tekst, trzeba mieć obmyślony jego plan. Wiedzieć, co wybrać z danej tematyki, znaleźć własną, może świeższą niż w dziennikach, które przecież już to skomentowały, interpretację zdarzeń.

Czy spisuje pani sobie jakieś hasła, argumenty i kontrargumenty?

Nie robię notatek czy przygotowań. Czasem zapiszę jakąś myśl, która mi przyjdzie do głowy, żeby ją potem wykorzystać. Argumenty i kontrargumenty mam w głowie. Nie słyszę żadnego nowego, a powtarzalność niektórych nieprawdziwych argumentów doprowadza mnie wręcz do szewskiej pasji. Skomplikowaną rzeczywistość ciągle próbuje się objaśnić za pomocą czterech, pięciu haseł – kluczy, o których całe moje doświadczenie i obserwacja polityki mówią, że są kompletnie nieprawdziwe.

Czy coś panią w IV RP zadziwiło?

Od czasu komisji śledczych, a zwłaszcza komisji orlenowskiej, po polskiej polityce spodziewam się wszystkiego, co najgorsze. Mielisłmy pokaz tego, co nas czeka. Nie byłam zdziwiona, kiedy ten nurt doszedł do władzy. Polsce bardzo długo udawało się uniknąć rządów radykałów, ale taki kryzys rządzenia musiał kiedyś przyjść. Podobne zapaści przeszły wszystkie kraje postkomunistyczne.

Pytam, bo mam wrażenie, że kilka razy, odkąd PiS przejął rządzenie krajem, komentatorzy polityczni ogłaszali, że dzieje się coś zupełnie niespodziewanego.

Może jedna sprawa mnie zadziwiła – postawa Lecha Kaczyńskiego. Pamiętałam go jeszcze z początku lat 90., kiedy był wiceprzewodniczącym „Solidarności”. Wydawał mi się wówczas człowiekiem umiaru. Być może nie rozumiałam natury związków bliźniaczych, bo sądziłam, że będzie bardziej samodzielnym prezydentem. Jaki jest Jarosław Kaczyński, wiedziałam. Chociaż rzeczywiście może i w jego przypadku jednej rzeczy nie przewidziałam. Od wygranych przez PiS wyborów uważałam, że Jarosław Kaczyński powinien zostać premierem. Miałam poczucie, że przy swoich skłonnościach do myślenia spiskowego, do przeceniania zdolności służb specjalnych, ma w sobie pragmatyzm i trafność diagnozy politycznej. Brakowało mu doświadczenia państwowego, ale myślałam, że kiedy zostanie premierem, bardzo szybko pozna mechanizmy państwowe i straci trochę radykalizmu. Okazało się, że nie potrafi zrezygnować z części roli lidera partyjnego i strasznie mu się pomieszały funkcje.

W jednym z tekstów z października 2006 roku, kiedy rozpadła się koalicja, podawała pani możliwe scenariusze: „zmiana premiera, zmiana rządu, nowa koalicja, umowa między ugrupowaniami politycznymi na czas określony”. Wtedy wielu komentatorów nie przewidziało, że koalicja odrodzi się w tym samym składzie.

Oczywiście są takie zdarzenia, których nie potrafimy przewidzieć. W tej chwili rola publicysty politycznego jest bardziej rolą sapersą niż analityka, bo jest tyle min, na których można wylecieć, że już właściwie nikt nie prognozuje niczego. Jeżeli polityka dzieje się w głowie jednego człowieka, to naprawdę wszystko się może zdarzyć.

Jest pani dziennikarzem docenianym, nagradzanym, ale pojawiają się też oskarżenia – często w niewybrednej formie – że jest pani częścią mitycznej szarej sieci. Czy panią to dotyka?

Już nie. Może kiedyś mnie to ruszało, ale się przyzwyczaiłam. Nigdy nie podejmowałam polemik z etykietami, chamstwem, uszczy-

pliwościami, które w stosunku do mnie kierowano. Sama nie atakuję nikogo personalnie, nie widzę potrzeby, żeby chamstwo dowartościowywać pisaniem. Widocznie wywodzę się z innego kręgu kulturowego. Ale być może jestem częścią tej szarej sieci. Uważam zresztą, że znalazłabym się wówczas w zupełnie dobrym towarzystwie. Może najlepszym spośród tych, w których chciałabym funkcjonować.

Czasem można odnieść wrażenie, że patrzy pani z góry na innych komentatorów w politycznych debatach?

Nie noszę po prostu niewiedzy. Rzeczywiście, jeżeli ktoś zaczyna opowiadać bzdury, świadomie manipuluje faktami, albo po prostu nie wie, o czym mówi, to mnie wkurza. Ostatnio w rozmowie z redaktorem Sakiewiczem, który wygłaszał swoje poglądy w telewizji na temat werdyktu Trybunału Konstytucyjnego, powiedziałam wprost: „nie był pan, nie słyszał, nie wie pan, o czym mówi, a ja byłam, słyszałam, wiem, o czym mówię”.

Czy można powiedzieć, że w swoich tekstach tłumaczy pani rzeczywistość?

Zawsze byłam osobą konkretną. Staram się opisywać politykę tak, jak ona się dzieje, bo jest bytem realnym. Trzeba go uporządkować i opisać, jeśli się da, podać jakąś prognozę. Mam zniechęcenie do nadmiaru słów i emocji w tekście. Lubię zdyscyplinowane myślenie. Jeśli zgromadzi się dużo faktów, to tekst przemawia ich siłą i to znaczy więcej niż emocje czy psychologizowanie. Różnię się pod tym względem od redakcyjnych kolegów. Jacek Żakowski woli na przykład teksty emocjonalne, ja – chłodny ogląd. Jestem przekonana, że potrzebne są i jedne i drugie. Śmieję się, że ja jestem fizyczna, a oni są umysłowi.



PUDEŁKO Z BOMBKAMI

Szukając transwestyty dałam ogłoszenie do „Gazety Wyborczej”. Nie zgłosił się nikt. Po anonsie w „Seksretach” zostałałam zasypana telefonami. Wśród dzwoniących był porucznik Maj, heteroseksualista, ojciec rodziny - opowiada Katarzyna Surmiak-Domańska, reporterka „Dużego Formatu”.

rozmawiała Agnieszka Wójcńska

Tytułowy reportaż z wydanej właśnie przez panią książki „Beznadziejna ucieczka przed Basią” to opowieść o transwestycie. Skąd pomyśł na taki materiał?

Byłam już po dwóch tekstach o transseksualistach i ktoś w redakcji podsunął mi ten temat. Transwestytyzm to zaburzenie identyfikacji płciowej, które obrasta w różne stereotypowe sądy, plotki, a tak naprawdę nie wiadomo, co to jest. Zaczęłam od rozmowy z seksuologiem, doktorem Dulko. Wyjaśnił mi, że w przypadku tego zaburzenia człowiek ma dwie osobowości. W przeciwieństwie do transseksualisty (osoby, która chce zmienić płeć) akceptuje swoją płeć, ale co jakiś czas musi zagrać rolę tej drugiej. Byłam zaskoczona, że to nie ma nic wspólnego z homoseksualizmem. Transwestyta w potocznym języku kojarzy się z gejami, z drag queens.

Jak pani szukała swojego bohatera?

Transwestyci, w odróżnieniu od homoseksualistów, nie mają swojego środowiska, strony internetowej. Żyją w ukryciu, samotnie. Nie miałam pomysłu, jak do nich dotrzeć. Dałam ogłoszenie w „Gazecie Wyborczej”, ale nikt się nie zgłosił. Pomyślałam, że można spróbować w jakimś magazynie erotycznym. Zamieściłam ogłoszenie w „Seksretach”. Napisałam, o co chodzi i podałam swój numer komórki. I wtedy zaczęło się coś niesamowitego, dzwonili non stop. Okazało się, jak wielu ich jest. Pięćdziesiąt zgłoszeń miałam na pewno. Jak zadzwoni pierwszy, to człowiek jest bardzo szczęśliwy – mam, mam. Potem dzwoni drugi, trzeci, zaczyna się dokonywać selekcji. Wielu z nich było homoseksualistami.

Nie chciała pani, żeby bohater był gejem?

Pamiętałam, co mówił doktor, chciałam, żeby ten mężczyzna pozornie był bardzo męski - miał męski zawód, żonę, dzieci. Pomyślałam, że ten reportaż będzie miał wtedy sens, jeśli pokażę, co może dziać się z człowiekiem, który na pierwszy rzut oka nie kojarzy się z takim zaburzeniem. Nabierze przez to wymiaru uniwersalnego, będzie opowieścią o tym, że w środku skrywamy rzeczy, o których się kompletnie naszemu otoczeniu nie śni. Bo człowiek jest zupełnie nieodgadnioną zagadką. Nawet członkowie najbliższej rodziny czasami nie wiedzą, z kim żyją pod jednym dachem. Obalanie stereotypów to zadanie dla reportera. Rzucanie nowego światła na pewne sprawy. W rezultacie, po przeczytaniu tekstu, jesteśmy mniej nadęci, mniej schematyczni, mniej pewni siebie, mniej zarozumiali.

W końcu udało się znaleźć odpowiednią osobę.

Pojawił się pan porucznik Maj – oficer Wojska Polskiego, z żoną, dziećmi. Bardzo trudno się było z nim spotkać. Musiałam wysłać mu wiadomości na poste restante i on do mnie oddzwaniał. Bał się spotkać w swoim mieście, przyjechał do Warszawy. Najciekawsze było to, że on się strasznie obawiał utraty anonimowości, ale pokusa opowiedzenia swojej historii była znacznie silniejsza. To jest w ogóle przypadłość ludzi, którzy zgadzają się być bohaterami reportaży - opowiadają o takich rzeczach, których nie mają śmiałości powiedzieć komuś innemu.

Jak wyglądało pierwsze spotkanie? Jak starała się go pani otworzyć?

Był nieśmiały. Kiedy zaczęliśmy rozmawiać, roztrzęsiony zaczął mi tłumaczyć: „Ja nie jestem homoseksualistą”. W jego przypadku przetłomowe było zdanie: „Jestem zafascynowany kobietami, kocham kobiety”. Ja wtedy tak kobieco i kokieteryjnie zapytałam: „Co pana takiego fascynuje w kobietach?”, a on

na to: „To niesamowite, że się nosi te koronkowe rzeczy, buty na obcasie”. Zaczęliśmy prywatną kawiarnianą rozmowę. Chyba to jest jakiś sposób, żeby kogoś otworzyć. Najgorsze jest zadawanie przygotowanych pytań. Dlatego pytam poprostu o to, co mnie najbardziej interesuje.

Czy ma pani zestaw jakichś technik na otwarcie rozmowy, szczególnie, jeśli temat jest tak trudny?

Nie mam. Myślę, że absolutnie najważniejsze, zanim zacznie się myśleć o jakimkolwiek zestawie czy socjotechnikach, jest stworzenie naszemu rozmówcy maksymalnego poczucia bezpieczeństwa, otulenie go kokonem. To niby banalna rzecz, ale wydaje mi się, że dziennikarze nie zawsze o tym pamiętają. Ma to znaczenie już w chwili, kiedy umawiamy się na spotkanie. Bohater musi wiedzieć, że jestem w pełni dyspozycyjna w kwestii miejsca i czasu spotkania. Nie mogę mu powiedzieć: „proszę pana, ale nie w środę, soboty odpadają, bo ja w końcu mam rodzinę”. Nie mogę się spóźnić, szczególnie na pierwsze spotkanie. Musi wiedzieć, że żyje tylko tym tekstem, a on jest dla mnie kimś wyjątkowym i najważniejszym. Wtedy dopiero odda mi swoją historię, bo będzie miał świadomość, że powierza ją w dobre ręce. Nigdy nie opowiadam komuś, że zajmuję się równocześnie czymś innym. Jeśli człowiek zgadza się na rozmowę, trzeba uważać, żeby nie zrobić fałszywego kroku i go nie spłoszyć. To jest zawsze balansowanie, żeby nie zadać pytania za dużo albo za wcześnie, nie skomentować głupio czegoś. Trzeba być cały czas skoncentrowanym, żeby nie zapytać o coś, co on już powiedział. Dlatego rozmowa, która trwa półtorej godziny, jest dla mnie bardzo męcząca. Potem umawiam się z bohaterem na kolejne spotkanie.

Ma pani bardzo humanistyczne podejście.

To jest podstawa. Inaczej nikt nie będzie rozmawiał. Rozmowa reporterska nie różni się niczym od rozmowy w życiu. Jak zawieramy przyjaźnie, to zwierzają nam się osoby, które wiedzą, że lubimy słuchać. Tu jest tak samo. Trzeba ludzi lubić. Ja lubię, ale też bardzo się nimi interesuję. Ludzie są fascynujący. Jestem ciekawa ich historii, żyję nimi. Ale oczywiście mam pewne sposoby. Dobrze jest zacząć od opowiedzenia czegoś o sobie, albo, jak w tym przypadku, od prowokacji. Warto przytoczyć stereotypy, które krążą na temat danej przypadłości. Wtedy bohater będzie je obalał, odwołując się do szczegółów – co jest dla nas podstawą. Zmuszanie bohatera, żeby opowiadał szczegółami, jest najważniejsze, ale też bardzo męczące. Jeśli nie będzie mówił szczegółami, to później nic z zebranego materiału nie da się zrobić.

Pani pyta zatem transwestytę, jaka była sukienka?

Nie można pozwolić na to, żeby człowiek mówił: “Wtedy zaczęłam się przebierać, ale ukrywałam to.” Ale chwilczkę, kiedy się pan ubierał, skąd pan wziął sukienkę, jak ona wyglądała, gdzie pan to trzymał? W miejscu niedostępnym, żeby rodzice nie znaleźli. Wielu początkujących dziennikarzy zadowoliliby się taką informacją, ale to jest zdanie niedopuszczalne w reportażu. „Gdzie? W piwnicy. Ale jak to w piwnicy? To znaczy, do piwnicy rodzice nie zaglądali, są miejsca, do których się nie zagląda podczas całego roku. Ale jakie? Pudełko z bombkami choinkowymi.” Jak mamy te bombki choinkowe, to inaczej brzmi, przemawia do czytelnika. Trzeba zawsze doprowadzać do pudełka z bombkami choinkowymi. To musi być jak protokół policyjny. Bez tego w ogóle nie ma reportażu, ponieważ to szczegóły wzbudzają empatię czytelnika. Niestety, jeśli bohater odmawia mówienia o szczegółach, to się nic z nim nie da zrobić, choćby był Marsjaninem

i miał niesamowitą historię.

Na ile bohaterowie starają się wpływać na kształt tekstu?

Przy pierwszym tekście miałam życiowy dylemat, dla kogo go piszę. Bardzo często jest tak, że zgłaszają się do nas ludzie z prośbą, żeby o nich napisać. Reporter może się wtedy czuć zobowiązany do tego, żeby traktować bohatera, jakby był jego pracodawcą. I to jest straszliwa pułapka, bo potem tekst może rozwinąć się niekoniecznie po myśli rozmówcy. Zaczyna się badać jakąś sprawę i okazuje się, że musimy gwoli uczciwości opisać jakieś rzeczy, które mu nie są na rękę. Najbardziej drastyczny przykład, który pamiętam, to tekst „Inaczej niż w Raju”. Przyszedł do nas człowiek, którego syn wyjechał do szkoły w Kalifornii. Tam w bardzo dziwnych okolicznościach zginął. Ojciec był przekonany, że został zamordowany. W tamtej szkole mówiono, że to samobójstwo. Zamówił u nas tekst, cała rodzina była do pełnej dyspozycji. W trakcie pracy na materiałem okazało się, że chłopak ewidentnie popełnił samobójstwo, przpuszczalnie z powodu ojca. Od małego był chowany na geniusza i kiedy znalazł się sam w tej szkole, nie zniósł presji. To był najtrudniejszy tekst w moim życiu. Chciałam zachować uczucia tej rodziny, ale też napisać prawdę. Po latach pracy wiem na pewno, że nie wolno nigdy pisać tekstu dla bohatera, tylko dla anonimowego czytelnika, takiego, którego w ogóle się nie zna i nigdy nie pozna. To jest podstawa rzetelności

Nagrywa pani swoje rozmowy?

Od niedawna używam dyktafoniku cyfrowego. Wcześniej miałam kobyłę na kasety. Pamiętam, jak kiedyś dyktafon pomógł mi zbliżyć się do bohatera. To było przy okazji pisania tekstu „Stop!” (z książki „Beznadziejna ucieczka przed Basią”, przyp. red.). W szkockim więzieniu miałam spotkanie z mężczyzną skazanym za morderstwo na tle seksualnym. Kiedy zjawił się na rozmowę ze mną pytałam, czy mogę nagrywać. Wyciągam dyktafon, a on się nie włącza. Facet patrzy na mnie, na dyktafon i mówi: „Nie ma pani baterii”. Myślę - no to koniec. A on na to: „Niech pani zaczeka, mam w celi swoje baterie, zaraz przyniosę.” Wrócił, włączył dyktafon i zaczął opowiadać o tym, jak udusił kobietę.

Jak wygląda samo pisanie?

Najtrudniej jest zacząć. Jak ma się początek pierwszej strony, to potem już samo się pisze. Jeżeli się źle rozpocznie, wszystko kuleje i nie da się tego potem układać w żaden sposób. Mam już zebrany materiał, jadę samochodem, biorę benzynę na stacji, w kasie w supermarkecie stoję i myślę, i nagle wyobrażam sobie scenkę, która będzie otwierać tekst. Potem to jest trochę jak film. Najlepiej przecinać opowieść na przykład dwiema narracjami. Sceny muszą się przeplatać. W przypadku „Beznadziejnej ucieczki przed Basią” miałam: relację porucznika, rozmowy z innymi transwestytami, rozdział z książki dwóch seksuologów o wicehrabim Eonie i jesz-



dziennikarskiej. Gdy bohater mówi - inaczej to sobie wyobrażałem - trzeba być twardym jak skała.

Jakie są więc zasady relacji reporter-bohater?

Ustala się z bohaterem, co można napisać, czego nie. Gdyby porucznik Maj powiedział: „Jestem transwestytą, ale nie może pani napisać o tym, że mam żonę, dzieci i pracuję w wojsku”, to podziękowałabym mu, bo to jest dla mnie najistotniejsze w tej opowieści. Uczciwość to trzymanie się umowy. Etyka polega na tym, że obiecałam, że czegoś nie napiszę i tego nie piszę.

Powiedziała pani, że nigdy nie ma spisanych pytań. Jak wygląda zatem pani spotkanie z bohaterem?

Po prostu rozmawiamy. Pytania muszą zawsze wychodzić z rozmowy. Często robię tak, że rozmawiam, próbuję to spisać, a jak mi brakuje jakichś drobiazgów, to dzwonię i dopytuję.

być zbyt dosłowny. Mój własny pomysł, z którego jestem dumna, to „Spadają kapelusze, spadają peruki”. To był tekst o dzieciach chorych na białaczkę, na obozie w Irlandii. Po angielsku jest takie idiomatyczne wyrażenie „zrzucić kapelusze”, które znaczy „być na luzie”. Te dzieci chodziły w perukach, bo były łyse i stąd tytuł.

Jakie cechy powinien mieć człowiek, żeby być dobrym reporterem?

To bardzo trudne pytanie. Na pewno musi być zainteresowany ludźmi. Powinien mieć słuch i oko, ale też śmiałość, żeby to co one zanotują, przelać na papier. Poproszono mnie kiedyś, żebym pomogła pisać reportaż stażystcie. Poszłam więc z nim zbierać materiał. To było na Gocławiu, zamordowano jakiegoś chłopca i chodziliśmy po środowisku blockersów. Znaleźliśmy dużo smaczków, które są najcenniejsze dla reportażu. Rozmawialiśmy z tymi chłopakami, poszliśmy do domu kultury zobaczyć, co on im oferuje. Okazało się, że piknik rodzinny i konkurs na najładniejszy koszyczek piknikowy. Byliśmy na komisariacie, gdzie komisarz zaczął opowiadać, że się nie da tych chłopaków połapać, a nad nim wisiała ogromna szabla. Takie rzeczy są niezwykle ważne. Zauważyliśmy to. Potem w tekście on o niczym z tego nie napisał. Same newsowe informacje. Widocznie uważał, że nie wypada. Dlatego wydaje mi się, że najgorsze jest doświadczenie w newsowości. Bo tam się nie pisze o szczegółach, które mogą się wydawać głupie.

Poniżej inspiracje literackie Katarzyny Surmiak-Domańskiej:

- Marcel Proust *W poszukiwaniu straconego czasu* – najlepsza szkoła reportażu, mistrzowskie posługiwanie się szczegółem w celu wydobycia treści, przesłania, głębi. Opisując przez kilkanaście stron podwieczorek u księżnej, gdzie jest mowa tylko o tym, w jaki sposób goście podnoszą filiżankę do ust, Proust kreśli wnikliwe portrety ludzi swoich czasów. Także za piękno i precyzję języka.

Hans Christian Andersen - za łatwość wzruszania, za poetykę jego baśni, ich nieoczywistość - nawet drewniana łyżka u Andersena ma złożoną osobowość, nie jest ani zła, ani dobra, tylko trochę dobra, a trochę zła, trochę tchórzliwa, potem na końcu odważna.

- Fiodor Dostojewski – za wyjście z założenia, że człowiek składa się z bardzo dużej ilości rozmaitych cech, które są kompletnie ze sobą sprzeczne, i że wcale nie trzeba próbować tego rozumieć.

Katarzyna Surmiak-Domańska – nota biograficzna

Katarzyna Surmiak-Domańska (ur.1967) skończyła filologię romańską na UW. Przez dwa lata w Radio Mozart prowadziła audycje z muzyką klasyczną. W 1995 roku trafiła do „Gazety Wyborczej”, gdzie pisze reportaże i przeprowadza wywiady. Ma ich na swoim koncie ponad sto, a część z nich była publikowana w antologiach: *Anna z gabinetu bajek* (1999), *Zły dotyk* (2001), *Twarze* (2003), *Cała Polska trzasko* (2005), *Grand Press. Dziennikarskie hity 2005* (2006) oraz ostatnio w autorskiej książce *Beznadziejna ucieczka przed Basią* (2007).

Jej teksty dotyczą przede wszystkim tematyki społeczno-obyczajowej. Często pisze o ludziach samotnych,przeżywających dramaty osobiste i uwikłanych w trudne rodzinne relacje. O sobie mówi, że ma szczęście, bo jej praca jest jak podróż przez wiele żyć.

PUSTA SALA

Cztery osoby są zobowiązane pamiętać artykuł „To była nagonka”, który ukazał się w „Tygodniku Solidarność” w 2005 roku: autorka Teresa Kuczyńska, redaktor naczelny „Tygodnika” Jerzy Kłosiński, wraz z pełnomocnikiem procesowym mecenasem Małgorzatą Ułaszonek-Kubacką oraz pełnomocnik procesowy Agory Piotr Rogowski. Wymienieni mieli okazję poznać się bliżej – na drugiej rozprawie w sądzie cywilnym w Warszawie. Agora wytoczyła armaty z powodu użytego w artykule zdania: „Woła „Gazeta Wyborcza” o inwigilację i delegalizację prawnicy”

Andrzej Berezowski

Tekst, którego nie było

Artykuł Kuczyńskiej opisywał sytuację prawnicy na polskiej scenie politycznej. Zdaniem Agory publicystka dopuściła się zniesławienia, ponieważ „Gazeta Wyborcza” nigdy na swych łamach nie zamieściła tekstu, w którym padły użyte przez dziennikarkę słowa. – Ciężar dowodu w sprawie o zniesławienie spoczywa na stronie pozwanej. Pani Kuczyńska czy pan Kłosiński powinni przynieść na salę dowód w postaci tekstu z „Gazety Wyborczej”, w którym napisano by: „My „Wyborcza” wołamy o inwigilację prawnicy. Takiego tekstu nigdy nie było – powiedział po rozprawie mecenas Rogowski. Pozwani stoją na stanowisku, że użyte sformułowanie trafnie oddaje wydźwięk artykułów zamieszczanych w „Gazecie Wyborczej”, a polemiczny charakter tekstu dopuszcza sporny zwrot. – Artykuł powstał na skutek osobistych spostrzeżeń. – Zapoznałam się też z różnymi tytułami, jak „Życie” czy „Dialog” – mówiła podczas rozprawy Kuczyńska, a pełnomocnik pozwanych obwieściła: „Autorka nie ma obowiązku czytać codziennie „Gazety Wyborczej”. Źródłem dla pani Kuczyńskiej były inne publikacje prasowe.”

Wniosek 1 z jakimś Ziemkiewiczem w tle

Pozwani złożyli wniosek o powołanie na świadków ekspertów, publicystów i dziennikarzy (w tym m.in. Rafała Ziemkiewicza), którzy mieliby potwierdzić ogólny wydźwięk tekstów z „Gazety Wyborczej”, a także określić ramy artykułów polemicznych; znaczy dowieść, że poglądy Kuczyńskiej nie są bez sensu, bo oni... uważają podobnie. Mecenas Rogowski wygłosił płomienną mowę, w której podważył sens przesłuchiwania wymienionych w piśmie osób. Pochylony, opierając się pięściami o stół, mówił i mówił. Z wywodu Rogowskiego wynikało, że świadkowie nie mogą być przesłuchani na okoliczność ocen i poglądów, a jedynie na okoliczność faktów, jakie są im znane. Zasłuchana sędzina zaprzestała dyktować protokołancie, i tak dla potomnych zachowało się niewiele. Zachowałoby się jeszcze mniej, gdyby nie czujność pełnomocnika pozwanych, która poprosiła o zapisanie do protokołu fragmentu wywodu: „pani Kuczyńska brzydko skłamała i nie ma odwagi się przyznać”. Pozwani poculi się urażeni tym zdaniem. Mecenas Rogowski w swojej argumentacji wypowiedział też kwestię: „jakiś Ziemkiewicz”. Małgorzata Ułaszonek-Kubacka podkreśliła, że Ziemkiewicz nie jest jakimś Ziemkiewiczem, a panem Rafałem Ziemkiewiczem. Mecenas Rogowskiego redakcja pragnie poinformować, że w pewnych kręgach Ziemkiewicz znany jest nie tylko jako autor książki „Michnikowszczyzna”, ale także jako były redaktor naczelny „Fantastyki”.

rozmowa z Piotrem Rogowskim

1/ Dlaczego Agora nie próbuje rozwiązywać sporu z Tygodnikiem Solidarność na niwie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich?

SDP nie reprezentuje całego środowiska dziennikarskiego, a członkiem zarządu tego stowarzyszenia jest Jerzy Kłosiński będący stroną w tej sprawie. Agora SA nie jest członkiem SDP, zatem nawet formalnie nie jest to możliwe. Zresztą, można spierać się wyłącznie o poglądy, a nie o kłamstwa. Jeśli powie pan, że jestem kulawy, podczas gdy w rzeczywistości kulawy nie jestem, to pan skłamię. Natomiast jeśli powie pan, że jestem brzydki, a ja uważam siebie za przystojnego, wtedy powstanie płaszczyzna sporu.

2/ Pana zdaniem artykuł polemiczny nie dopuszcza spornego zwrotu?

Sporne zdanie jest informacją o nieprawdziwych faktach, a nie opinią czy polemiką. Posługiwanie się pojęciami: polemika, aforyzm, przenośnia, czego by chciał pełnomocnik pozwanych, jest w tej sprawie bez sensu. Z językowego punktu widzenia chodzi przecież o fakty, a nie o jakieś sądy wartościująco-ocenne.

3/ Jakie były warunki ugody jakie Agora zaproponowała Tygodnikowi Solidarność?

Pertraktacje ugodowe z reguły są tajne. Nie może pan pytać o warunki ugody. To niepoważne. Mogę jedynie powiedzieć, że były to takie warunki, które pozwalały tygodnikowi wyjść z twarzą z tego sporu. Dla tygodnika nawet ustępstwa powoda okazały się nie do przyjęcia.

4/ Czy zasugeruje pan mocodawcom, aby wypowiedzi pozwanych zapisane w protokole, posłużyły za podstawę do wytoczenia następnych procesów Tygodnikowi?

Nie wykluczam podjęcia tego typu działań. Zależy to jednak od tego, co przeczytam w protokole. Ostateczna decyzja i tak nie należy jednak do prawnika, ale jego klienta.

Faktografia

Pełnomocnik Agory przedłożył ekspertyzę autorstwa dr Katarzyny Kłosińskiej, sekretarza prezydium Rady Języka Polskiego. Stwierdza w niej, że sporne zdanie jest informacją, a nie poglądem. Mecenas Rogowski wzmocnił ekspertyzę własnymi przemyśleniami: „Nie trzeba wiele intelektu, by skonstruować pogląd, że pozew dotyczy faktu.” Pełnomocnik pozwanych wniosła o odrzucenie ekspertyzy. Jej zdaniem dr Kłosińska oceniła wyrwane z kontekstu, pojedyncze zdanie, a nie wypowiedź całego artykułu. „Autorka ekspertyzy nie uwzględniła wielu środków: parafrazy, przenośni, aforyzmu. Poza tym publikowała ona na łamach „Gazety”, w związku z czym jej bezstronność stoi pod znakiem zapytania”. Sąd postanowił rozpatrzyć wnioski podczas rozprawy tajnej.

Wzajemne kontakty

Rozprawę zdominowała kłótnia o to, kto, kiedy i dlaczego utrudnia podpisanie ugody. Rozmowy między stronami w tym względzie zostały zerwane. – Wysoki sędzie – reasumował Rogowski – nie mam takiej śmiałości, by jeszcze raz próbować podjąć negocjacje. „Strony niby chcą, a nie chcą” – uznał sąd. – „Tymczasem w tego typu sprawach ugoda to najlepsze rozwiązanie.” Niewątpliwie, tym bardziej, że sąd był uprzejmy poinformować zebranych o zbliżającym się terminie wakacji, kiedy to planuje wyjechać na urlop. Termin kolejnej rozprawy nie został wyznaczony. Dyskusja o ugodzie rozdrażniła strony. Perspektywa kary porządkowej nie przeraziła mecenasów i w budowaniu wzajemnych relacji posłużyli się m.in. takim dialogiem: – Pan powiedział, że jestem idiotką – usłyszała i poinformowała salę Ułaszonek-Kubacka. – Na miły Bóg – wezwał na świadka Najwyższego Rogowski. – Nic takiego nie powiedziałam. Sędzia określenia nie usłyszała. Rozprawę zakończyło wstępne przesłuchanie oskarżonych. Dotychczas niezauważony Kłosiński przyznał, że pierwszy raz spotkał się z zdaniem sprostowania fragmentu polemiki ze strony innego tytułu prawnego. – Wielokrotnie występowałem z własnymi sprostowaniami do „Gazety Wyborczej”, a tylko raz zostały wydrukowane – stwierdził. – Na polemiki, których „Gazeta Wyborcza” nie zamieściła, otrzymywaliśmy wręcz aroganckie wypowiedzi.

To pierwszy proces wytoczony „Tygodnikowi Solidarność” przez Agorę. Włodarzom Agory jako mięso procesowe możemy polecić inne artykuły Kuczyńskiej m.in.: „Bij Moskale, bij!”, a w nim zdanie: „Ale to zwyczajowa manipulacja „Gazety” („Tygodnik Solidarność”, 12 maja 2001 r.)

Rozprawa odbyła się w maju 2007 roku

rozmowa z Teresą Kuczyńską

Czy z perspektywy czasu uważa pani sporne zdanie za prawdziwe?

Tak, oparte jest na konkretnych publikacjach „Gazety Wyborczej” i innych gazet na jej temat, które włącznie do akt sprawy.

W jaki sposób zareagowała redakcja „Tygodnika Solidarność” na proces?

Otrzymałam moralne poparcie zespołu i aktywne kierownictwa. Bez specjalnych emocji, bo procesy dziennikarskie nie są wielkim wydarzeniem, a moja redakcja miewa ich niewiele w porównaniu do innych redakcji, na przykład „GW”.

Jak ocenia pani pracę sądu podczas rozprawy?

Złe. Jest tendencyjny w prowadzeniu sprawy. Zezwalał na ordynarne obrażanie świadka (taki jest mój status na rozprawach) przez reprezentanta „GW”, mecenasa Rogowskiego poprzez epitety, insynuacje, krzyki. Zwłaszcza podczas pierwszej rozprawy. To było ubliżające nie tyle dla mnie, bo takie brutalne ataki ze strony „GW” świadczą o prawdziwości mojej krytyki tej gazety, co dla sądu. Mimo protestów pani mecenas, reprezentującej „TS”, sędzia nie ukróciła popisów mecenasa Rogowskiego. Nie przerwała jego chamskich krzyków w czasie drugiej rozprawy. Za to wystąpienia mecenas reprezentującej „TS” ukróciła szybko, nie dopuszczając tym samym do pełnej obrony.

Jakie warunki niedoszłej ugody przedstawiły strony?

„GW” powtórzyła żądania z pisma procesowego.

A z państwa strony?

Nie jestem w stanie konkretnie odpowiedzieć, jak było sformułowane przez panią mecenas odrzucenie ugody z „GW”. Uznaliśmy jednak, że nie obraziłimy „GW” ani redaktora Michnika, nie mamy więc za co przeproszać. Napisałam prawdę w swoim artykule. Żądanie „GW” było tak bezsensowne, jak bezsensowne było żądanie przeproszenia za przypisanie redaktorowi Michnikowi członkostwa PZPR. Michnik przegrał tę sprawę.

Pani mecenas oceniając ekspertyzę dr Katarzyny Kłosińskiej, stwierdziła: „Autorka ekspertyzy nie uwzględniła wielu środków: parafrazy, przenośni, aforyzmu” Czy mogłaby pani rozwinąć te słowa? Jakie środki stylistyczne dopuszcza polemika?

Nie mogę odnosić się do argumentacji pani mecenas na temat eksperta, a tym bardziej precyzować jej słów, bo tylko ona wie, co chciała naprawdę powiedzieć.

Wygląd sportowy czy przegląd mody

Moda dziennikarska – czy coś takiego w ogóle istnieje? Inaczej ubierają się dziennikarze prasowi, a inaczej ci, których widzimy na ekranach telewizorów. Jak bardzo miejsce pracy wpływa na nasze wybory ubraniowe i sposób spędzania wolnego czasu? Czy redakcja narzuca jakieś ograniczenia? Jeśli tak, to jakie? Czy dziennikarze „Wprost” mają podobny styl do tych z redakcji „Polityki”? Jak bardzo modni są pracownicy pism specjalizujących się w zagadnieniach mody, a na ile awangardowi wydają się być pracownicy Radiostacji, „Activista” czy Antyradia? W naszej rubryce będziemy brać pod lupę i badać tę delikatną materię – nie zawahamy się użyć do tego ekspertów ze świata mody, socjologów, stylistów i trendsetterów. Nie zapominając przy tym nigdy, że „nie szata zdoła człowieka”.

Urszula Ginalska
fot. Patrycja Mic

Nasza pierwsza misja nierozeralnie związana jest z EURO2012. Uzbrojone w aparat fotograficzny i poczucie humoru udajemy się niezapowiedziane do redakcji „Przeglądu Sportowego”. Chcemy, by dziennikarze wyglądali zupełnie naturalnie. Chcemy eksplorować ich „codzienne” – odzienie codzienne.

Poniedziałek jest wyjątkowo upalny, tak bardzo, że najchętniej zdjęłoby się wszystko z siebie. W redakcyjny świat wprowadza nas Katarzyna Drosio – asystentka w redakcji.

Open space podzielony jest na dwie części – piłka nożna po lewej i reszta dyscyplin sportowych po prawej stronie. Redakcja to głównie mężczyźni. Średnia wieku około 35 lat.

Mamy szczęście. Tego dnia w redakcji nie jest aż tak gorąco jak na zewnątrz – możemy chwilę poprzeczkać dziennikarzom. Podpytać ich o wpadki miodowe, miejsca zakupów, fetysze ubraniowe.

Na pierwszy rzut oka widać, że ubrani są na sportowo i adekwatnie do panującej za oknem aury. Dominują T-shirty, koszulki polo, koszule z krótkim rękawem, dzinsy i obuwie sportowe. Żadnych krawatów ani garniturów. Pewnie dlatego, że tego dnia zabrakło w biurze redaktora naczelnego i jego zastępców, którzy reprezentują redakcję na zewnątrz.

Redakcja Przeglądu Sportowego to mocno zmaskulinizowane środowisko, ale obecność kilku kobiet (zastanawiająca jest ich ponadprzeciętna uroda) z pewnością wpływa na złagodzenie buźującego pod wpływem emocji sportowych testosteronu. Redakcja jest niewielka, więc wszyscy się znają. Żadna zmiana fryzury czy oryginalny strój nie przejdą niezauważone.

Czasem okazuje się, że wyśmiana przez kolegów zmiana fryzury tak naprawdę bardzo się podobała. Panowie nie są tylko kpiarzami, potrafią również dostrzec i skomentować wygląd redakcyjnych koleżanek.

Najstydniejszą redakcyjną wpadkę miodową zaliczył Piotrek Wesołowski. Pewnego pięknego dnia pojawił się w redakcji w czarnych skajowych spodniach. Koledzy do tej pory nie mogą mu tego zapomnieć. Skajowe spodnie dały się tego dnia we znaki również poza biurem, narażając właściciela na niewybredne zaczepki osobników tej samej płci.

Podobno w jednej z redakcyjnych szaf wiszą rezerwowo marynarki na wypadek, gdyby dziennikarz musiał wystąpić w bardziej eleganckiej wersji.

Dziewczęta mają na sobie spodnie i bawełniane T-shirty – twierdzą, że ten styl im odpowiada i dobrze się czują. A może to mimetyzm, upodobnienie się do otaczającego środowiska?

W redakcji jest miejsce na indywidualność – charakter pracy pozwala na sporą dowolność stroju. Formalny dress code nie istnieje. Nieformalny ograniczony jest obawą przed kpina, na którą można się narażać wkładając coś, co przez współpracowników zostanie uznane za obciach.

Panowie z „Przeglądu Sportowego” może nie są tak modni jak ci z „CKM-u”, ale na pewno jest z nimi wesoło.

Piotr Wierzbicki (33 lata). Zakupy robi razem z dziewczyną. Najchętniej w Springfield. Jeśli chodzi o fetysze: – Czasem noszę stringi mojej dziewczyny – żartuje. Specjalizuje się w piłce angielskiej.



Marcin Lepa (27 lat.) Jako jedyny miał przy sobie płaszcz, który założył do zdjęcia. Planuje kupić garnitur na ślub, na razie jeszcze nie na własny. Nie chce nam zdradzić, gdzie, żeby nie zapeszyć. Specjalizuje się w piłce włoskiej.



Piotr Wesołowski (30 lat.) Czarne skajowe spodnie – pamiętne. Dziś ma na sobie markową koszulkę Lonsdale Londyn. Piłka nożna i ręczna.



Izabela Koprowiak (22 lata) – typowa niepozbaniona kobiecości chłopczyca. Zbyt szaloną fryzurą spowodowała falę żartów o bliskim spotkaniu z prądem. Zawsze lubiła piłkę nożną.



Michał Kołodziejczyk vel Koło (26 lat.). Wodnik. Piłka nożna. Kiedyś przed kamerami TVN wystąpił w przykrótkiej marynarce, zdjętej ze swojego zwierzchnika. Wypadł dobrze. 1/3 roku spędza na wyjazdach. Udało nam się go przylapać w nieco nietypowym stroju – właśnie wrócił z delegacji. Ma na sobie koszulkę kupioną w czasie wakacji w Kambodży. Deklaruje, że do biura najczęściej przychodzi w koszulach.



Sylwester Sikora (58 lat.) Nieokiełznane poczucie humoru. Odzież kupuje mu żona. Ostatnio nabyła kurtkę dzinsową za 30 zł w lumpeksie na Ursynowskim Dotku. Jest w posiadaniu całej masy fetyszy sportowych, w tym szalik z MŚ piłki ręcznej, na których Polacy zdobyli srebro. Siedzi po prawej stronie. Specjalizuje się w piłce ręcznej i pływaniu. Bez mrugnienia okiem stwierdził, że jego ulubioną dyscypliną sportową to tenis plażowy. I muszę przyznać, że był przekonujący.



prapoczątki reporterki

„Reporterka” to pierwsza książka, w której Hanna Krall mówi o sobie wprost. Jacek Antczak opowiada o swoim spotkaniu z mistrzynią reportażu i książce-kolażu, w której zapisał Hannę Krall jej własnymi słowami.

rozmawiała Magdalena Karst

„Reporterka” nie jest klasycznym wywiadem-rzeką. Swoją wkład w tworzenie tej książki zamyka pan w słowach: wybór, kompozycja, uzupełnienie oraz dokumentacja. Na czym właściwie polega pana rola?

Moja bohaterka mawia, że zapisuje to, co powinno być zapisane, że jest protokollantką, „sumiennym researcherem”. To może ja miałem podobną rolę w odniesieniu do niej. Byłem researcherem Hanny Krall.

Trudno jest być researcherem wielkiej reporterki?

Trudno, ale fantastycznie. Zbiera się jej porozrzucane, a przecież tak ważne słowa, jej zapomniane czasem wypowiedzi i opowieści o reportażu, reporterach, niezwykłych bohaterach jej książek czy o własnej biografii. A potem czeka się, co z tego wyjdzie, co na to powie researcherka życia. I ma się poczucie, że robi się coś ważnego, że zapisuje się Hannę Krall – jej słowami. To fascynująca przygoda dla reportera.

Dzięki tej książce miał pan szansę współpracować z Hanną Krall. Nie czuł się pan tym onieśmielony?

Dla dziennikarza, wiem to od wielu z nich, spotkanie z Hanną Krall na pewno wymaga odwagi, a wspólna praca nie jest łatwa. Tym bardziej, że kiedy rozmawialiśmy o naszej książce, o życiu, o ludziach czy po prostu żartowaliśmy sobie, cały czas miałem poczucie, że siedzę sobie naprzeciwko niesamowitej reporterki, która jest dla mnie kimś więcej niż dziennikarką i kimś więcej niż pisarką. Chociaż mam naturę ryzykanta, wymagało to ode mnie pokonania jakiejś wewnętrznej bariery. Potrzebowałem na przykład dużo czasu, zanim odważyłem się pokazać jej książkę z moimi reportażami, chociaż mnie o to prosiła. Ale zabrakło mi już odwagi, żeby z nią o nich porozmawiać. Uciekłem od tematu.

Hanna Krall jest bardzo czujna. Pamiętam naszą pierwszą telefoniczną rozmowę. Ani na chwilę nie wyszła ze swej roli i cały czas zadawała intrygujące pytania. Na przykład: czy historię stu lat kamienicy można zawrzeć na stu stronach?

Co pan wtedy odpowiedział?

„Pani Haniu, pani pewnie udałoby się na pięćdziesięciu, ale sto stron powinno być w sam raz”. To była szczerza odpowiedź, nigdy nie podlizywałem się Reporterce, to by była zła taktyka. Hanna Krall pisała wtedy „Wyjątkowo długą linię”. Najpierw zrobiła mi wstępny egzamin z własnej twórczości (śmiech), a dzięki temu pytaniu dowiedziałem się, nad czym pracuje.

Po miesiącach wspólnej pracy czuje się pan jednym z jej uczniów?

Recenzentka „Gazety Wyborczej” napisała o „Reporterce”: „On rozmawiał, a ona dawała mu szkołę”. To zdanie świetnie oddaje charakter naszej współpracy. To było dla mnie fantastyczne doświadczenie – obserwować Hannę Krall przy pracy. Ale nigdy nie byłem i nie będę jej ślepyim naśladowcą. Choć z pewnością wiele się od niej nauczyłem. Można powiedzieć, że miałem szczęście dostać kilka lekcji. I to praktycznych.

„Reporterka” pokazuje zawodową drogę, jaką przeszła Hanna Krall – od uczennicy do mistrzyni. Istnieje analogia pomiędzy tym, jak początkująca dziennikarka Hanna Krall przyjmowała uwagi na temat swojej twórczości od Mariana Brandysa, a tym, jak uczniowie doświadczonej Hanny Krall przyjmują jej krytykę. Jednym z ulubionych uczniów reporterki jest Mariusz Szczygiel. Ale ona była tylko w tym sensie jego nauczycielką, że czytała jego teksty i o nich rozmawiali. No, trochę tam kreśliła (śmiech). Ale Hanna Krall stara się niczego nikomu nie narzucać, tylko wskazywać właściwy kierunek.

Skąd wziął się pomysł, żeby „zapisać” Hannę Krall?

Sześć lat temu uczestniczyłem w spotkaniach reporterów prowadzonych przez Marka Millera. Marek powiedział mi wtedy o projekcie książki, nazwanym roboczo „3xK. Polska Szkoła Reportażu”. Ta książka miała być kompilacją wywiadów, jakich w ciągu całego swojego życia udzieliła trójka największych polskich reportażyistów: Krall, Kapuściński, Kąkolewski. Ja zająłem się częścią poświęconą Hannie Krall. Marta Sieciechowicz spotykała się z Kąkolewskim, a Ania Fi-decka z Kapuścińskim. Zgromadziłem obszerny materiał – zajmuje mi już pół szafy. Ostatecznie projekt

„3xK” nie wypalił i każde z nas poszło w swoją stronę. Marta napisała książkę o Krzysztofie Kąkolewskim. Mnie było po drodze z Hanną Krall i postanowiłem kontynuować pracę we własnym zakresie. Znalazłem wydawcę, który zachwycił się pomysłem i wraz z Mariuszem Szczygłem pomogli mi namówić Hannę Krall do udziału w kontynuowaniu pracy nad książką.

Było to trudne?

Hanna Krall miała wątpliwości i na początku nie była przekonana do tego pomysłu. Ale kiedy już się zdecydowała, wiedziała, że to wymaga poświęcenia także od niej – naprawdę się zaangażowała i bardzo mi pomagała. Przecież to jest tak naprawdę pierwsza książka o niej.

Nazywa pan „Reporterkę” eksperymentem, ale przecież „Autoportret reportera”, który ukazał się parę lat wcześniej, ma podobną formę.

Kiedy pracowaliśmy nad „3xK”, wydawało nam się, że robimy coś nowatorskiego i że wkraczamy w nowe rejony dziennikarstwa. Ale pojawiły się przeszkody i utknęliśmy w martwym punkcie. Wtedy wydało „Autoportret reportera”. Byliśmy rozczarowani, że się spóźniliśmy, że ktoś zrobił to przed nami. Z drugiej strony widziałem w „Autopor-



trećie” sporo wad. To uzmysłowiło mi, że pracując tą metodą, swego rodzaju kolażu, łatwo można pogrążyć się w chaosie. A jedno wiedziałem na pewno – moja książka ma być składna, na temat i z sensem. Że ma być prawdziwa i ciekawa.

I rzeczywiście taka jest. Jak to się udało?

Czytelnik, który trzyma ją rękach, może nie zdawać sobie sprawy z tego, jak benedyktyńską drogę musiałem przejść, żeby dotrzeć do tych stu sześćdziesięciu kilku stron. W pierwotnej wersji „Reporterka” miała stron sześćset i to był już materiał poddany wstępnej selekcji. Składanie trwało dwa lata. Skracalem tekst w sposób brutalny, ale świadomy. Z wywiadów, które w ciągu wielu lat zrobili moi koledzy, wybierałem tylko fragmenty. Potem jeszcze je łączyłem (zresztą dosłownie – nożyczkami) i sklejałem z innymi. Nic w „Reporterce” nie miało prawa się powtórzyć. Książka o Hannie Krall nie może być przecież przegadana, bo co by sobie pomyśleli czytelnicy jej reportaży.

Jak wyglądał pana warsztat pracy, kiedy powstawała „Reporterka”?

Jacek Antczak – z urodzenia kaliszczanin, z wykształcenia kulturoznawca, z powołania reporter. Od lat związany z Wrocławiem, gdzie skończył studia i zdobywał dziennikarskie szlify, współpracując z lokalnymi mediami (obecnie kieruje reporterami w „Słowie Polskim – Gazecie Wrocławskiej”), „Reporterka. Rozmowy z Hanną Krall” – nietypowy wywiad-rzeka jest jego drugą książką. Pierwsza, zbiór reportaży zatytułowany „W Radwanicach najlepiej idą romanse”, ukazała się w 2004 r. Mariusz Szczygiel napisał o nim: „Stał się chyba najbardziej utytułowanym dziennikarzem prasy pozawarszawskiej”.

Po całym domu miałem porozkładane kartki formatu A4. Na balkonie była część czytelnika, w sypialni bohatera, a część poświęconą reportażowi rozlokowałem w dużym pokoju. Kiedy doszedłem do fragmentu „Reporterki” poświęconego warsztatowi Hanny Krall, zdałem sobie sprawę, a właściwie wyczytałem z tych notatek, że pracuję w pewnym sensie tą samą metodą, co moja bohaterka. Hanna Krall też rozkłada wszystkie notatki na tapczanie. Potem szuka, przepisuje wciąż od nowa, porzuca ten tapczan, potem znów się nad nim pochyla. Ja też pochylałem się nad tymi moimi kartkami. Ale nie mogłem od tego uciec, bo nie miałem gdzie. Przecież byłem w domu.

Nie pomyślał pan, w którymś momencie, że prościej byłoby zrobić klasyczny wywiad-rzekę?

Nie. Do dziś jestem przekonany, że pomysł na to, jak opowiedzieć o Hannie Krall, jest ciekawy i oryginalny. Nie wyobrażałem sobie, jak mógłbym zadać mojej bohaterce pytanie, na które ona już odpowiadała osiemdziesiąt razy. A przecież tego nie dałoby się uniknąć, bo niektóre pytania są fundamentalne i musiałyby paść. Czy uczciwiej byłoby poprosić Hannę Krall, by kolejny raz opowiedziała historię o spotkaniu ze Stauffenbergiem, o której mówiła już w wywiadzie z 1987 roku, niż przytoczyć ją z podaniem autora rozmowy? Dzięki kolegom-dziennikarzom miałem fantastyczny materiał. Musiałem go jednak opracować.

W którym momencie pokazał pan książkę swojej bohaterce?

Hanna Krall zapoznała się z materiałem w chwili autoryzacji. Wcześniej spotkałem się z nią i zrobiłem duży wywiad. Dokładnie wiedziałem, czego chcę się dowiedzieć i jakich odpowiedzi mi brakuje. Ten mój wywiad potraktowałem potem równie bezlitośnie i selektywnie, jak wcześniej wywiady zrobione przez innych dziennikarzy. Wszystkie decyzje podejmowałem z myślą o dobru książki. Także wtedy, kiedy z Hanną Krall ustalliliśmy, że nie będziemy ingerować merytorycznie w odpowiedzi, których reporterka udzieliła kilkanaście czy kilkadziesiąt lat wcześniej. Kiedy więc pada w książce pytanie o ulubioną lekturę, to odpowiedź Hanny Krall jest taka, jakiej ona udzieliła parę lat temu.

DEMOKRATYCZNA SZTUKA

Do zrobienia pierwszego zdjęcia potrzeba było 8 godzin naświetlania. Postęp w dziedzinie fotografii następował jednak bardzo szybko, a wraz z nim wzrost prestiżu nowej dziedziny sztuki. Awans tak wielki, że za wystawioną na aukcji pracę Edwarda Steichena „The Pond Moonlight” zapłacono niespełna 3 miliony dolarów.

Andrzej Zygmuntowicz

W tym roku obchodzimy dwie rocznice istotnych zdarzeń z historii fotografii. Pierwsza, chyba trochę ważniejsza, to 180 rocznica wykonania pierwszego zachowanego do dzisiaj zdjęcia, zrobionego przez zapalonego wynalazcę - wizjonera Josepha Nicephora Niepceca. Prosty widok z okna na wiejskie podwórze i znajdujący się za nim krajobraz. Niby nic specjalnego, ale zdjęcie jest trochę dziwne, bo widoczne w kadrze oficyny, przylegające do budynku, z którego zrobiono zdjęcie, są identycznie oświetlone, choć analizując ustawienie słońca względem oficyn, nie powinno tak być. Powód tej dziwności jest zdumiewająco prosty: by ono powstało, trzeba było ośmiogodzinnego czasu naświetlania, tyle co cały dzień zawodowej pracy. W tym czasie słońce zdążyło przewędrować ze wschodu na zachód, oświetlając przed południem jedną, a po południu drugą oficynę. Już to pierwsze zdjęcie pokazało, że to, co zapisane na fotografii, nie jest tym samym, co widzi oko. Przez te minione sto osiemdziesiąt lat technika zapisu obrazu przeszła ogromne przeobrażenia. Ośmiogodzinnie naświetlanie to dziś sytuacja niemal niewyobrażalna, wręcz trudno znaleźć materiał pozwalający na tak długie zapisywanie obrazu na materiale światłoczułym, nie mówiąc o cierpliwości współcze-



nych posiadaczy aparatów fotograficznych. Druga znacząca rocznica to 60-lecie powstania Związku Polskich Artystów Fotografików. Został on zawiązany przez fanatycznych miłośników fotografii, starających się przekonać rodaków, że fotografia jest taką samą sztuką jak jej starsze, mocno historyczne, ale ciągle żywe, siostry. Lata zażyłej pracy przyniosły wyniki. Dziś dyskusje dotyczące artystyczności dzieł fotograficznych to gadanie po próżnicy.

Te dwie rocznice skłaniają do chwili refleksji nad drogą, jaką przeszła fotografia przez te wszystkie lata i na jakim etapie jest dzisiaj. Już sam jej oficjalny start był związany z ciekawym stosunkiem władz do nowego wynalazku. Francuska Akademia Nauk zaproponowała rządowi wypłacanie dożywotnich rent odkrywcom Louisowi Daguerre-owi i Isidorowi Niepceowi (synowi nieżyjącego już Josepha Nicephora), w zamian za bezinteresowne ofiarowanie wynalazku społeczności światowej. Ten krok przyczynił się do niesłychanie dynamicznego rozwoju nowego medium. Początkowo obszarem, na którym fotografia zafunkcjonowała na dobre, było klasyczne rzemiosło, głównie o portretowym charakterze. Po krótkim czasie zorientowano się jednak, jak ogromne możliwości dokumentacyjne i propagandowe są w niej ukryte. To dzięki niej popularyzowano na zamówienie władz zabytki kultury, krajobrazy ojczyste, specyficzne zawody, ważne zdarzenia oraz rozmaite typy ludowe. Francuzi za sprawą powołanej przez władze w 1851 roku Mission Heliographique, skupiającej grupę najwybitniejszych fotografów, zobaczyli bogactwo własnej historii zamknięte w zabytkowych obiektach architektonicznych rozsiąnych po całym kraju. Anglicy odczuli, czym jest wojna, gdy zobaczyli zdjęcia z wojny krymskiej (1854-55), zrobione na zamówienie królowej Wiktorii przez jej nadwornego fotografa Rogera Fentona

oraz zdjęcia Felice Beato z pełnych okrucieństwa działań wojsk brytyjskich w Indiach (1857) i Chinach (1860). Amerykanie także poznali brutalność wojny secesyjnej dzięki tysiącom zdjęć wykonanych przez zorganizowaną grupę fotografów towarzyszących obu walczącym stronom od początku działań wojennych. Zdobywcę Mont Blanc zostało udokumentowane przez francuskich fotografów, bra-

ci Bisson, którym towarzyszyło w czasie podejścia dwunastu tragarzy dźwigających sprzęt fotograficzny. Gdy wspomina się te pierwsze ważne dokumenty fotograficzne, warto przypomnieć sobie ówczesną technologię. Pracowano wtedy metodą mokrego kolodionu, polegającą na wylaniu przez fotografa, tuż przed zrobieniem zdjęcia, po ciemku, emulsji światłoczułej na szklaną płytkę, włożeniu jej do kasety, szybkim naświetleniu (ciężki aparat musiał stać na statywie) i szybkim jej wywołaniu, gdyż emulsja musiała być cały czas wilgotna, inaczej traciła swoje światłoczułe właściwości. Cały proces powinien być przeprowadzony w temperaturze 20 stopni Celsjusza. Fotografowie, by móc robić zdjęcia w terenie, zabierali ze sobą laboratoria na kółkach, ich konstrukcje przypominały niewielkie dylansy bez okien. Rzucające się w oczy pojazdy nie dawały szans na robienie zdjęć w czasie zaciętych walk. Ale i te zrobione po zakończeniu bitew, z licznymi ciałami zabitych i zrujnowanymi miastami dawały wyobrażenie, jak tragiczne zniszczenia zbiera wojna. Wykonywanie zdjęć w czasie zdobywania Mont Blanc z to kolei walka z minusową temperaturą, w której zamarażały chemikalia. Powstało wówczas ledwie kilka fotografii. Dokumentalne możliwości tego ciągle bardzo młodego medium zostały wykorzystane przy staraniach o ustanowienie pierwszego chronionego prawem parku narodowego Yosemite Valley. Za sprawą nie tylko dokumentalnych ale i artystycznych zdjęć Charlesa Weeda i Carletona Watkina, ukazujących bogactwo przyrody i urzekającą urodę dzikiego krajobrazu Gór Sierra Nevada i doliny Yosemite, w 1864 roku utworzono na tych terenach park narodowy. Fotografia była źródłem poznania nie tylko historii i wyglądu własnego kraju, ale w niemińszym stopniu przyczyniła się do poznania, jak wyglądają odległe miejsca i jak różni ludzie zamieszkują kulę ziemską. Fotografia zachęcała do podróžowania, do oglądania dalekich krain pełnych intrygujących budowli, znacznie starszych niż europejskie, i kontaktowania się z przedstawicielami całkiem odmiennych kultur. Miała ogromny wpływ na umasowienie się turystyki. Po wprowadzeniu do użytku lekkich i prostych aparatów wyposażonych w jasne obiektywy oraz błon fotograficznych, które można było obrabiać samodzielnie, nastąpiła wręcz eksplozja fotografii rodzinnej i pamiątkowej. George Eastman, założyciel firmy Kodak, był gotów zaryzykować kradzież patentu na błonę nitrocelulozową oblewana emulsją światłoczułą, przewidując masową jej produkcję dla potrzeb fotografii rodzinnej i zawodowej, w tym powstającej dopiero prasowej. Odszkodowanie zapłacił z zarobionych w krótkim czasie dużych pieniędzy. Dzięki ułatwiającym robienie zdjęć rozwiązaniom technicznym fotografia powoli zaczęła stawać się częścią rodzącej się kultury masowej. Ale obok tych dokumentalno-rzemieślniczo-pamiątkowych zastosowań fotografii, okazała się ona niesłychanie interesującym narzędziem w rękach twórczych osobowości. Mimo początkowej niechęci do niej wielu środowisk artystycznych, wynikającej głównie z traktowania fotografii jako bezdusznego systemu mechanicznego zapisywania istniejącej rzeczywistości, ujawniła ona swoje kreacyjne możliwości. Trwało trochę, zanim zagości-



ła ona na ścianach galerii sztuki i w kolekcjach muzealnych. Dziś możemy uznać że to naturalna historia : od obaw, co przyniesie nowy wynalazek techniczny do odkrycia pełnego potencjału drzemiącego w tej nowej technologii.

Żyjemy w czasach wszechobecności fotografii. Opanowała ona sferę prywatną, sferę publiczną i sferę pośrednią między nimi, jaką jest



sztuka. Najnowsze rozwiązania techniczne ułatwiły dostęp do fotografii osobom, które odczuwały paniczny strach przed fotograficzną ciemnią, jako miejsce tajemniczej magii, dostępnym tylko nielicznym wybrańcom. Dzisiejsze sposoby zapisu obrazu fotograficznego spowodowały, że po fotografię, jako system budowania własnej świadomej wypowiedzi, sięgnęło wielu artystów poruszających się wcześniej na innych polach sztuki. Możemy wręcz mówić o dominacji fotografii i pokrewnych z nią technologii wśród mediów artystycznych, co wynika nie tylko z ułatwień współczesnego warsztatu, ale także z łatwości komunikowania się z odbiorcami poprzez znany im i dobrze przyswajalny sposób przedstawiania wizji autorskich. O awansie fotografii wśród dyscyplin twórczych mówią ceny uzyskiwane przez dzieła fotograficzne na aukcjach w czołowych domach aukcyjnych jak Christie's czy Sotheby's. Za zdjęcie Diany Arbus „Identical Twins” zapłacono 487 400\$, za zbiór zdjęć Carletona Watkina z Yosemite Valley 1 993 800\$ a z pracą Edwarda Steichena „The Pond Moonlight” 2,9mln\$. Te ceny zaskakują, bo nie różnią się od cen płaconych za inne obiekty artystyczne. Fotografia na dobre weszła do kanonu kolekcjonerskiego. Ludzie lubią ją oglądać, nawet wtedy, gdy daleko jej do przypisywanego jej klasycznego, przezroczyściego przedstawiania świata dokładnie takim, jaki on jest. Przyswyczajono się już, że fotografa, jak i inne dyscypliny twórcze, jest systemem interpretacji rzeczywistości i ujawniania obrazów powstałych w wyobraźni. Odpowiedzią na tak żywe zainteresowanie społeczne są między innymi festiwale fotografii, wyrastające nie tylko w Polsce jak grzyby po deszczu. Dziesiątki wystaw, pokazów, warsztatów ukazują wielorakość pomysłów na obraz fotograficzny. Często w jednym miejscu można zobaczyć skrajnie odmienne ideowo i warsztatowo realizacje. To doskonała szkoła tolerancji dla innych niż nasze myśli, dla innego postrzegania świata i innego przedstawiania swoich wizji. Fotografia wydaje się być najbardziej demokratycznym medium przez swoje wszechstronne możliwości warsztatowe. I reportaż opowiadający o kolejnych doświadczeniach rodzaju ludzkiego, i przestrzenna konstrukcja rzeźbiarska, zbudowana z obrazów fotograficznych, przynależą do tego samego uniwersalnego medium. Łatwość realizowania fotografii ma jednak dwie strony. Obok wielu ciekawych działań pojawia się mnóstwo wizualnego banału. Jeśli dzieje się tak w prywatnych albumach rodzinnych i nie jest to stawiane jako wzór dla innych fotografujących, to nie ma o co kruszyć kopii. Niestety ten rodzaj miakkiej fotografii coraz obficie wypełnia sferę publiczną w postaci ulicznych reklam, atakujących nas niemal na każdym kroku, czy ilustracji w prasie, w ogromnej większości poświęconych zdarzeniom i uczestnikom rytuałów z regu kultury masowej, prawie zawsze przesterowanych w programach do graficznej obróbki obrazu. Jak zauważyli socjologzy, społeczeństwo konsumpcyjne odnajduje się na styku z kulturą popularną, a kultura wysoka jest niczym świąteczny deser, po który sięga się nadszyczyć rzadko. Do tych rzadkich dań należy dziś nie tylko wyrafinowana sztuka ale i fotoreportaż, który ciągle arcyciekawie opowiada o wielowarunkowości współczesnego. Dla masowego odbiorcy robi to także telewizja, w łatwiej przyswajalny sposób. Gdy wśród restauracji dominuje McDonald's, a wśród naczyni plastikowa szklanka na piwo i także sztucce, to i w kuchni fotograficznej dominować będzie postać bliska wystylizowanemu na bóstwo manekinowi niż żywy, niedoskonały człowiek. Czasem jednak świętujemy i wtedy chętnie sięgamy po te najlepsze dania, na prawdziwych naczyniach, by przeżyć autentyczne chwile uniesień w kontakcie z czymś zupełnie wyjątkowym. Fotografia ma w swojej karcie znaczące ilości tych najbardziej wyrafinowanych dań, oddziaływających na niemal wszystkie zmysły. Jakże byłoby wspaniale, gdyby świąteczne dni zdarzały się co chwile, ale może wtedy byłoby za pięknie.



NIE WIESZ, NIE WYCHODŹ

ROZMOWA Z CHRISEM NIEDENTHALEM I MACIEJEM PISUKIEM

Fotoesej Ewy Gampel zrealizowany został w ramach pleneru fotograficznego „Miasto oczyma włóczęgi”. Efekty wyprawy autorki z aparatem na ulice Łodzi omawiają Chris Niedenthal i Maciej Pisuk.



18 Chris Niedenthal i Maciej Pisuk.
fot. Ola Górniak

Zdjęcia zrobiono w ramach zadanego tematu. Czy według panów spełniają założenia tematyczne?

Maciej Pisuk: Nie ukrywam, że mam wątpliwości co do tego zestawu. Po pierwsze, ocenię te zdjęcia jako wyjęte z kontekstu, jakim był zadany temat; po drugie, spróbuję dociec, czy autorka wywiązała się z zadania. Powiedziałbym tak: jest średnio. Jeśli chodzi o zadanie stworzenia cyklu fotograficznego, to podstawowe wymogi zostały tu spełnione: różnorodność kadrów, pewien wspólny walor łączący zdjęcia, w tym przypadku walor plastyczny. Wchodząc głębiej, musimy sobie odpowiedzieć na pytanie: co te zdjęcia dają mi, jako obserwatorowi? Moje podstawowe kryterium oceny to pytanie, czy po obejrzeniu zdjęć staję się o coś bogatszy. Czy moja wrażliwość zostaje rozszerzona? W wypadku

tego materiału uważam, że nieszczególnie... Osobna sprawa to zastosowany tu zabieg formalny w postaci rozmazań.

Czy to subiektywne spojrzenie na miasto, a może to jednak próba zatuszowania braku pomysłu na temat?

Chris Niedenthal: Jestem człowiek prosty, który lubi proste zdjęcia. W przypadku tych wydaje się, że autorka poszła w pewną poezję. To czasami się udaje, ale bywa też niebezpieczne. Nie uważam, że powinno to mieć miejsce w reportażu czystym. Jakiegokolwiek filtry, czy inne zabiegi formalne nie powinny mieć miejsca w tego rodzaju fotografii.

Zadany temat to widzenie miasta, „z perspektywy włóczęgi”. Ciężko tu dokonać selekcji, co dla „włóczęgi miejskiego” jest istotne, warte odnotowania, a co nie. Patrzymy, wybierając coś z rzeczywistości, albo łapiemy wszystko. Jaki wybrać klucz przy takim temacie?

ChN: W tym materiale zabrakło konkretnego pomysłu, jak ująć temat. Czy patrzeć oczyma prawdziwego włóczykija w sposób dosłowny, czy jednak nie? Te zdjęcia za bardzo idą w poezję. Czy takie jest właśnie

widzenie osoby włóczęjącej się po mieście? Ja podszedłbym do tego tematu bardziej dosłownie.

Czy zdjęcia spełniają założenia fotoeseju?

CN: Wszystko trzyma się pewnej całości, jeśli założymy że ten fotoesej ma realizować taki a nie inny temat. Włóczęga w sumie może widzieć wybiórczo. Zdjęcia w ramach takiego cyklu mogą takie być.

MP: Cykl może tak, ale historii tu nie ma. Brak tu spójności fabuły, nawet na metaforycznym poziomie. Są to oderwane epizody, które pokazują miasto w sposób fragmentaryczny i nie dają spójnej wizji całości. Nie odczytuję też przesłania, jak włóczęga postrzega to miasto: czy dobrze, czy raczej źle? Czy jest ono jego domem, czy raczej wygnaniem? Nie wiem tego, mimo wyraźnej próby subiektywizowania ujęć przez autorkę....

CN: Są tu jakby same momenty, w których spotykamy różnych ludzi, dzieci. W reportażu nie używałbym jednak kadrów pozowanych.

MP: Tu bym się nie zgodził. Znam wybitnych twórców, którzy robili cykle zdjęć, zwane przez nich fotoreportażami, które opierali wyłącznie na pozowanych portretach. Ludzie pozują i jest to konsekwentna konwencja w tych cyklach, zwanych skądinąd fotoreportażami. W prezentowanym materiale autorce zabrakło konsekwencji. Jedne zdjęcia są subiektywne i migawkowe, a niektóre dosłowne, pozowane. Brak tu spójności.

Czy mówią coś o specyfice tego miasta? Pokazują jego klimat?

ChN: Niektóre zdjęcia faktycznie oddają charakter miasta: bramy, podwórka, obdrapane ściany. Tylko tyle.

MP: Autorka starała się raczej wychwycić malownicze kadry bez wglębiania się w istotę miejsca.

Jak najlepiej fotografować miasto? Czy przed wyjściem warto założyć sobie, że realizujemy konkretny temat, czy raczej wyjść w miasto spontanicznie, z pustą głową i wychwytywać to, co napotykamy?

ChN: Ja wyszedłbym od tak, w ciemno. Zawsze chodzę „na ślepo”. Staram się wylawiać pewne scenki, które coś mówią o tym mieście, choć całego miasta nie pokazują. Mimo to, zawsze podziwiałem fotografów, którzy robią wszystko według określonego planu. W Warszawie jest zawsze coś do sfotografowania. To miasto- feniks, ciągle się zmieniające . Wystarczy się przejść. Zawsze mam przy sobie aparat, czuję się wtedy lepiej.

MP: Ja też zawsze chodzę z aparatem, choć nie wszystko co mnie napotyka rejestruję. Jestem fotografem

o niedużym stażu, który zaczął fotografować pod wpływem swoistej fascynacji miastem, w którym żyję. Miastem, a raczej dzielnicą, jaką jest warszawska Praga. Na początku był to chaos i natłok obrazów, więc pożerałem fotograficznie wszystko. Potem dopiero zaczęły się wylaniać tematy i motywy, które budowały się w pewne, osobne cykle. Odkryłem miejsca związane ze społecznościami stamtąd. Takim miejscem okazała się dzika plaża i jej prasy bywalcy, których zacząłem fotografować. Tematem cyklu stał się motyw spędzania czasu właśnie na tej plaży. Kolejna seria to byli ludzie i ich zwierzęta. Praskie tematy to dla mnie prace nieustające.

Wracając do problemu zabiegów formalnych: czy podważają prawdę fotoreportażu?

ChN: W klasycznych założeniach fotoreportaż ma być prawdziwy. Zabiegi formalne są dla mnie tylko uduźnianiem. Nie będę się jednak przy tym upierał, gdyż reprezentuję starsze pokolenie.

MP: Wróciłbym do punktu wyjścia. Czy zadaniem było zrobienie przez autorkę klasycznego w założeniach fotoreportażu, czy raczej dowolnego cyklu na zadany temat, czyli „Łódź oczyma włóczęgi”? Autorskie, subiektywizujące spojrzenie przełożone na zabiegi formalne w postaci filtrów i rozmazań jest w ramach takiego zadania do przyjęcia, ale powinno być uzasadnione. Tu wydaje się nie być. By podejść do takiego tematu, trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie: czym jest dla mnie włóczęgostwo i kim jest metaforyczny raczej „włóczęga”. Autorka na takie pytanie sobie nie odpowiedziała.

Czy temat ten nie jest podstępny? Zamieniając się we włóczęgę sami musimy dokonać wyboru tematów istotnych lub nie. Czy fotograf w swej istocie nie jest włóczęgą, a temat ten sprawdzianem, co mnie, jako fotografa, interesuje w mieście, kiedy nikt nie narzuca mi konkretnego tematu?

ChN: Fotograf, który nie wie, nie wychodzi w miasto.

MP: Ja szedłbym tu określonym tropem. Szukałbym w mieście skojarzeń intelektualnych. Włóczęga to dla mnie ktoś obeznany z miastem, znający jego wszystkie zakamarki i tajemnice. Specyfika zadania wymagała jednak głębszego wnikięcia w miasto.

Czy można tego dokonać na dwudniowym plenerze?

MP: Nie sądzę.

ChN: Taki temat wymaga czasu....

MP: Trudno przecież zostać miejskim włóczęgą tylko na jeden czy dwa dni.



NIE DO POWIEDZENIA

Zrobił masę znakomitych zdjęć. Gdy ponad 2 lata temu przyszedł do niego, by przeprowadzić swoją pierwszą dziennikarską rozmowę, nie znałam się kompletnie na fotografii. Poprosiłam, by przyniósł trochę zdjęć. Wiele ich było, na pewno wszystkie świetne. Gdy jednak zauważyłam to jedno, doznałam szczególnego poruszenia. Zahipnotyzowało mnie. Nie wiem dlaczego. Do dziś ta kobieta, jej oczy, ta fotografia przeszywa mnie do głębi. Chciałam, by o niej opowiedział.

Ewa Zbiegieni
Fotoreporter ma często kontakt ze śmiercią w różnych dramatycznych sytuacjach. Staje tym samym przed problemem znalezienia środka – jak o tym opowiadać i czy w ogóle o tym opowiadać. Czy opowiedzieć symbolem, czy wprost? Piotr Bernaś woli nie dopowiedzieć, bo niedopowiedzenie jest mocniejsze.

Kobieta siedziała przed szpitalem. Gdy na nią spojrzałem, dostrzegłem porażającą pustkę, nicość i beznadzieję w oczach. Pomyślałem, że ten obraz dużo mocniej mówi o ogromie tragedii, która tam się wydarzyła, niż dziesiątki tysięcy trupów. Po trzęsieniu ziemi w Iranie do szpitali polowych w Bam, zorganizowanych przez międzynarodową pomoc, przybywali potrzebujący opieki lekarskiej mieszkańcy miasta. Ta kobieta czeka przed jednym z nich. Miałem problem.

Piotr Bernaś, fotoreporter. Ukończył szkołę reportażu Collegium Civitas. Zaczynał jako freelancer w agencji Forum i Reporter. Szybko zaczął odnosić sukcesy: 2002r. - Grand Prix 1 edycji konkursu na fotoreportaż roku (Newsreportaż 2002) organizowanym przez tygodnik „Newsweek” za cykl „Siostrzyczki”, angaż w „Gazecie Wyborczej”; 2003r. - II Nagroda w kategorii Wydarzenia w Konkursie Polskiej Fotografii Prasowej za fotoreportaż „Ożarów”, Nagroda Specjalna Fujii Polska oraz III Nagroda w konkursie Newsreportaż 2003; 2004r. - 1 miejsce w kategorii Wydarzenia w konkursie Newsreportaż za fotoreportaż „Śmierć Miasta”; 2005 r. - II i III Nagroda konkursu BZ WBK, II Nagroda w Konkursie Polskiej Fotografii Prasowej oraz III Nagroda za Newsreportaż; 2006r. - II Nagroda w konkursie KFP oraz autorska prezentacja zdjęć na Targach Fotograficznych w Perpignan; od maja 2006 angaż w „Dzienniku”; od marca 2007 związany z Grupą Wydawniczą PolskaPresse, zastępca kierownika Działu Foto, tworzy ogólnopolski dział foto w nowym projekcie wydawnictwa.

Wyczuwałem jej stan i nie chciałem gwałcić prywatności. Wziąłem długi obiektyw, stanąłem dalej, przykucnąłem. Poczekalem, żeby wiedziała, że tam jestem, żeby w pewnym sensie mnie zaakceptowała. Gdyby wtedy się odwróciła, nie przeszedłbym na drugą stronę, by widzieć jej twarz. Byłby to znak, że ona nie chce. Miałem aparat w rękach i po prostu siedziałem. Delikatnie zacząłem robić zdjęcia. Jej oczy bardzo się zmieniały, była w nich wielka intensywność.

W Iranie było wielu fotografów lokalnych, którzy podążali szlakiem fotografów tzw. przyjezdnych. Podpatrywali ich i robili dokładnie to samo. Jeden z nich zauważył tę sytuację, mnie i kobietę. Domyślił się, dlaczego robię te zdjęcia. Tylko, że ja miałem długi obiektyw, a on krótki. Podszedł do niej na odległość 30 cm, tuż przed jej twarz i robił zdjęcia. Obserwowałem to ze zgrozą. Kobieta zaczęła zasłaniać się,

odwracać, a on jeszcze beczelniej wciskał jej aparat.

Jadąc do Bam, wiedziałem, gdzie i po co jadę. I najważniejsze - jakich zdjęć nie chcę robić. Był to z jednej strony bardzo łatwy temat, bo malowniczy, szokujący, dramatyczny - trzęsienie ziemi, ale i bardzo trudny, bo nie chciałem tym epatować. (W grudniu 2003 roku zginęło w tym mieście ponad 35 tys. ludzi, zniszczonych zostało ponad 80% budynków – red.). Widziałem później bardzo dużo zdjęć z tamtego rejonu - kawałków ciał, zwłok. W jednym z konkursów fotograficznych wygrało zdjęcie przedstawiające człowieka niosącego dwóch martwych synów na ramionach. Myślę, że czasami zdjęcie nie jest tak ważne, jak to, co się dzieje i być może nawet lepiej, żeby ono nie zostało zrobione.

FILOZOFIA KADRU

Wszystkie podręczniki fotografii przypominają o zasadach dobrej kompozycji, w ramach których powinniśmy nie ucinąć fotografowanych obiektów, zachować odpowiednią odległość i trzymać aparat równo. Co jednak jeśli rzeczywistość, którą chcemy sfotografować, staje się swym własnym odbiciem w krzywym zwierciadle?

Na pytania dotyczące technicznych, jak i filozoficznych aspektów kadrowania odpowiedzieli: Jacenty Dędek, Rafał Milach, Adam Pańczuk oraz Krzysztof Kuczyk.



Czym jest kadr? Czy da się go zdefiniować w kategoriach innych niż techniczne?

Jacenty Dędek	Adam Pańczuk	Krzysztof Kuczyk	Rafał Milach
Kadrowanie to sprawa intuicji. Za każdym, razem kiedy patrzę w obiektyw, nie staram się specjalnie kombinować w kategoriach poprawności kompozycji, ale raczej jak czuję tę konkretną sytuację. W fotografii pracuję się nad chwilą, która jest bardzo ulotna i trudna do zdefiniowania. Myślę, że przecucie wypredza tu myślenie, zupełnie inaczej niż w fotografii koncepcyjnej.	Robiąc zdjęcie zamykamy, porządkujemy kawałek rzeczywistości w jakiej się znajdujemy. Miejsce w jakim stoimy, moment w którym fotografujemy, to wszystko składa się w kadr. Aparatem nie tylko kadrujemy przestrzeń, ale też czas, przez naciśnięcie spustu migawki - w odpowiednim momencie i odpowiednim czasie jej otwarcia, wycinamy jego część. A wtedy zostaje już utrwalony na naszej fotografii.	To bardzo różnorodne pojęcie – lubię zarówno intuicyjne, jak i bardzo precyzyjne kadrowanie. Kadr powinien być jak zgrabnie wypowiedziana myśl. Ale może być to zarówno zdanie proste, jak i bardzo złożone. Dobór „słów” zależy zarówno od tematu, nastroju fotografa itp.	Kadr dla mnie to wybór sytuacji i miejsca oraz indywidualna interpretacja tego, co się fotografuje.

Jak fotografować miasto?

Miasto to ruch, żywioł, życie. Dla mnie najciekawsze są kadry pokazujące miasto w kontekście żyjących w nim ludzi. Nagromadzenie ludzi i rzeczy, szybkość z jaką pojawiają się nowe sytuacje powodują, że kadry stają się bardziej dynamiczne, chyba, że chce się pokazać coś zupełnie innego - pustkę, samotność, czy destrukcję, jaką też niesie wielkie skupisko ludności. Miasto jest pełne sprzeczności i wszystko zależy od tego, jak je odczuwamy i co chcemy pokazać. Bardzo lubię sposób, w jaki pokazuje miasto amerykański fotograf Constantine Manos w cyklu „American Color”.

Nie fotografuję miasta, tylko w mieście. Zazwyczaj mam jakiś konkretny temat. Sposób w jaki kadruje, na co kieruję obiektyw, jakie środki wyrazu dobieram - ściśle wiążą się z tematem. Dla przykładu - robiłem kiedyś fotoreportaż o nocnym życiu Bangkoku. Zdjęcia były robione w nocy, używałem długich czasów naświetlenia i wyzwalalem flesz na tylną lamelkę migawki. Miałem wtedy dobrze naświetlone tło i ostry pierwszy plan, co dawał mi błysk flesza. Ale też efekt końcowy nie był do końca przewidywalny. Bohaterkami moich kadrów były lokalne prostytutki i przez nie można zobaczyć jakiś wycinek obrazu miasta w którym pracują.

Jestem jednym z tych fotografów, którzy bardziej cenią sobie różnorodność wypowiedzi, niż jeden stały styl fotografowania, co ma to swoje lepsze i gorsze strony. Bardzo lubię zestawiać ze sobą obiekty, które same w sobie aż tak fotogeniczne nie są, natomiast zyskują właśnie w szerszym planie. Na ogół dążę do tego by na każdy temat wystarczył jeden kadr, który doskonale ten temat ilustruje.

Miasto fascynuje mnie wielością małych, intymnych przestrzeni. Każdy z takich kameralnych światów ma swoją historię. Z drugiej strony miasto podoba mi się jako monumentalny twór, który całkowicie zdominował żyjącego w nim człowieka.

Czy wybór danego kadru staje się swojego rodzaju interpretacją fragmentu rzeczywistości?

Tak, to prawda, dokonując wyboru kadru, odpowiednio go komponując, skupiamy uwagę odbiorcy na tym, co sami uważamy za wartościowe, wartości utrwalenia. Choć przedstawiona na zdjęciu rzeczywistość subiektywnie wybrana przez fotografa podlega interpretacji (również subiektywnej) odbiorcy.

Robiąc zdjęcia, chcąc nie chcąc, musimy podejmować decyzje - co jest istotne, co pokażemy i jak to pokażemy. Jak pokaże i co pokaże fotograf, to wypadkowa jego umiejętności, wiedzy i sytuacji w jakiej się znajduje. A u tych najlepszych dodatkowo intuicji.

Dokładnie tak uważam. Wybór kadru jest tym samym co wybór kierunku studiów czy tematu rozmowy. Nasze indywidualne potrzeby i uwarunkowania kierują nas na takie, a nie inne obszary.

Fotografowanie polega na przetwarzaniu rzeczywistości. Czy tego chcemy czy nie, nawet w fotografii dokumentalnej dokonujemy zawsze subiektywnego wyboru co, gdzie i jak fotografować. W jakimś stopniu oczywiście odpowiada to rzeczywistości, natomiast nie wierze w kompletnie obiektywny jej przekaz.

Jak kadrować miasto? Co jest w nim ważne, a co nie?

Wydaje mi się, że nie ma dla fotografa nieważnych tematów. Wszystko można pokazać, cały problem w tym w jaki sposób to zrobimy.

Miasto to tygiel, w którym miesza się dosłownie wszystko. Nowe ze starym, przyjezdni z tubylcami, klasy społeczne, beton z zielenią itd... Co pokażemy i jak to skadrujemy, to sprawa tego co chcemy przekazać odbiorcy, jaką historię mu opowiedzieć. A jeżeli zrobimy to tak, że zdjęcie będzie pokazywać jakąś uniwersalną prawdę, o tym co nas otacza, to moim zdaniem taka foto jest bliska ideału.

To nie jest dobre pytanie. Każdy decyduje po swojemu. Dla jednego wielkie reklamy zewnętrzne są obrzydlawe i należy unikać ich jako zbyt dosłownych, doraźnych i służących komercji; dla drugiego to fascynujące kulturowo bądź ciekawie komponujące się z szarą architekturą. To zbyt osobista sprawa by mówić, co jest dobre a co złe.

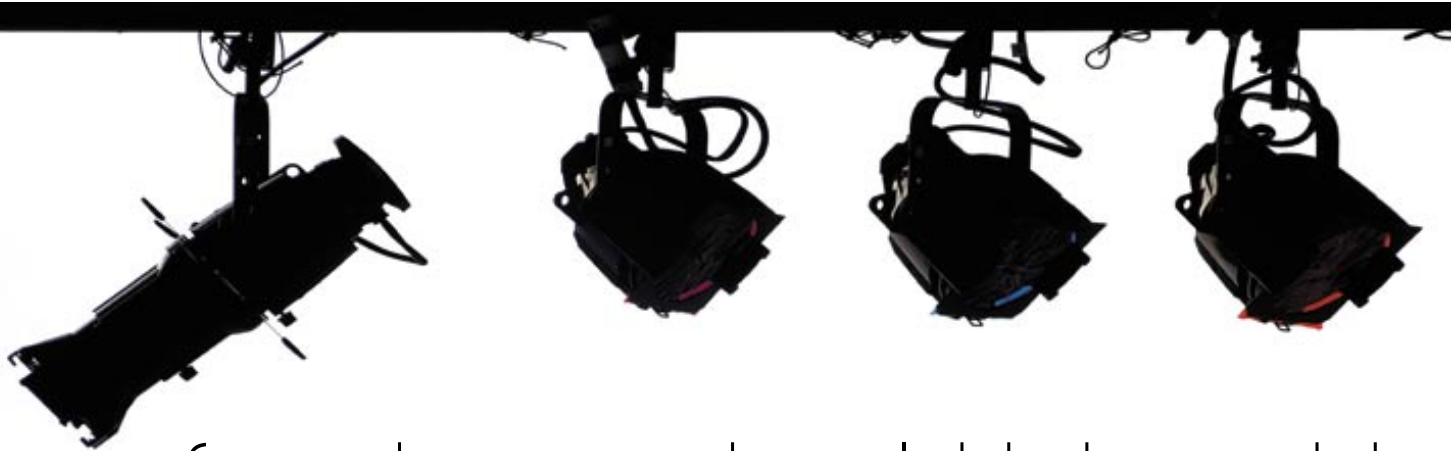
To zawsze będzie kwestia indywidualnego podejścia. Wszystko zależy od tego, czego w mieście szukamy. Jeżeli jesteśmy w stanie to zdefiniować, rozwiązania nasuną się same.

Czy istnieje jakiś trend czy moda związany z kadrowaniem?

Oczywiście istniały i istnieją mody na sposób kadrowania, czy wręcz fotografowania. Wróciła do łask fotografia otworkowa, jest lomografia. Upowszechnienie aparatów cyfrowych sprawiło, że każdy właściciel takiego aparatu czuje się fotografem. Wiele fotografii jest wykonywanych tak nonszalancko, że są one na pograniczu zdjęcia niepoprawnego. Próbuje się robić z tego pewien trend, czy modę. Osobiście uważam, że można, a nawet trzeba łamać kanony, ale pod warunkiem, że ma się je opanowane.

Swojego czasu widziałem w prasie dużo zdjęć zrobionych szerokim kątem z przerysowanym pierwszym planem, widziałem też dużo zdjęć skadrowanych w kwadrat z umieszczonym centralnie w kadrze motywem. Jednak mi ciężko mówić o jakiejś modzie.

Mody zawsze pojawiają się i znikają. Obecnie dostrzegam tendencję do nadużywania szerokiego kąta w fotografowaniu. Często taka techniczna sztuczka ma zastąpić oryginalny pomysł na zdjęcie. Jeśli chodzi o tematykę to wydaje mi się, że modne są ascetyczne kadry miasta – architektury, detalu, a w fotoreportażu bieda i beznadziejność losu „szarych” obywateli.



Zarządzam funduszami polskich rodzin

Środowisko teatralne jest podzielone i pełne konfliktów. Nie inaczej ma się świat recenzentów teatralnych. Jeżeli jednak w grę wchodzi widz, który za bilet na przedstawienie płaci 100 zł i więcej, wątki osobiste należy odsunąć na bok. Czy zawsze to się udaje? Odpowiada Joanna Derkaczew, recenzentka teatralna „Gazety Wyborczej”.

rozmawiały Aleksandra Nagel i Anna Grzywacz.

AN: Czy studia teatrologiczne umożliwiły pani start zawodowy?

Wiedza tak, ale same studia – nie bardzo. W moim przypadku wszystko zaczęło się od Romana Pawłowskiego z „Gazety Wyborczej”. Zapytał Macieja Nowaka, dyrektora Instytutu Teatralnego, czy nie zna młodych piszących ludzi. Z kolei Maciejowi Nowakowi ktoś powiedział o kilku osobach z naszej uczelni, w tym o mnie. Wysłał mi Romanowi Pawłowskiemu swoje teksty i wybrał mnie.

AG: Łatwo jest pisać o teatrze?

Wielu moich kolegów z filozofii mówiło: ty to masz fajnie, idziesz na spektakl i później po prostu siadasz i piszesz. Niestety nie jest to takie proste. Nie mam czasu na dystansowanie się do recenzowanych przedstawień. Miniej więcej od 19.00 do 22.00 jestem w teatrze, a do południa następnego dnia muszę mieć gotowy tekst.

AN: Jak napisać dobrą recenzję?

Dowiedzieć się jak najwięcej o autorze, reżyserze, o problemie, którego sztuka dotyczy. A dalej to już rzecz indywidualna. Ja robię notatki w trakcie spektakli. Z zapisków buduję masę słowną: skojarzenia, słowa, cytaty, obrazy i pierwsze figury stylistyczne.

AG: Po czym poznać pani, że sztuka jest dobra lub zła?

Pierwszym takim elementem są na pewno moje odczucia, moja emocja, którą próbuję intensywnie w sobie wysłedzić. Potem zastanawiam się, dlaczego tak jest. Czy spektakl był spójny, czy ja w ogóle wiem, o co w nim chodzi, czy to już było, czy widzę, że artysta posklejał to z innych przedstawień, które wcześniej widziałam. To jest właśnie jeden z warunków bycia recenzentem. Trzeba wcześniej dużo zobaczyć.

AN: Sama pani decyduje, które przedstawienie opisać?

Podczas piątkowych zebrań działu kultury każdy zgłasza swoje pomysły. Nie wystarczy wyjść z jakimś pomysłem, trzeba jeszcze go umotywić, dlaczego to jest ważne.

AN: Bywa pani krytykowana za swoje recenzje?

To się wszystkim zdarza. Czytam z ciekawością fora internetowe „Gazety Wyborczej”. Na początku odcho- rowywałam każdą niepochlebną wypowiedź. A zdarzały się różne. Nawet o moim życiu prywatnym. Uczę się jednak dystansu. Zastanawiam się, czy krytyczne głosy nie sugerują mi przypadkiem, że coś było nie tak w mojej recenzji. Jeżeli popełniłam ewidentny błąd, robię wielki alarm, piszę do redaktora dyżurnego, by to natychmiast poprawiał. Potem przez kilka dni nie śpię. Jeśli coś zostało niejasno napisane, uznaję to za lekcję na przyszłość.

AG: Zdarza się pani pod wpływem czyjejs opinii zmienić diametralnie zdanie na temat sztuki?

Diametralnie nie, ale parę razy dałam się trochę zniechęcić. Na początku coś mi się bardzo podobało, a ktoś, kogo zdanie szanuję, powiedział, że to fatalne i mój entuzjazm opadł. Miałam potem straszne wyrzuty, że postąpiłam nieuczciwie wobec siebie i spektaklu. Panuje też przekonanie, że pisząc w „Gazecie Wyborczej” jestem pod wpływem: A - Romana Pawłowskiego, B - Adama Michnika, którzy dyktują mi na ucho wszystkie recenzje. Nic z tych rzeczy. Czasami czekałabym na jakąś uwagę, jakiś odbiór ze strony bardziej doświadczonych dziennikarzy. Szczególnie przydatne było to w tych pierwszych miesiącach, gdy byłam zupełnie zielona.

AN: Recenzent teatralny powinien orientować się w każdej dziedzinie kultury?

Ależ oczywiście! Staram się konstruować moje recenzje tak, by pojawiło się jak najwięcej terminów i zjawisk znanych czytelnikom. Nie wszyscy są przecież specjalistami od teatru, a w ten sposób każdy może sobie skojarzyć przedstawienie z czymś, co zna.

AG: Czy obudziła się pani kiedyś z myślą: dziś napisałabym dla odmiany o jakiejś afery albo o spadku na giełdzie?

Tak naprawdę piszę o gospodarce, o polityce bez przerwy! Gdybym nie wiedziała o tym, co się dzieje w Ministerstwie Edukacji, czy w radio Maryja, to byłabym bezbronna wobec spektakli! Problemy polityczne są poruszane prawie w każdym przedstawieniu. Niektórzy reżyserzy uznali to nawet za dobry sposób na przyciągnięcie uwagi widza.

AN: Jak zawód recenzenta teatralnego jest postrzegany w środowisku dziennikarzy i twórców?

Pasożyty! Niespełnieni aktorzy! Jak pani Derkaczew jest taka mądra, to dlaczego sama nie wyreżyseruje

spektaklu?! To fatalne środowisko. Podzielone. Tyle w nim osobistych utarczek słownych, konfliktów! Ale jest także mocna polaryzacja środowiska recenzentów. Po jednej stronie jest „Gazeta Wyborcza”, „Przekrój” i „Tygodnik Powszechny” – recenzenci szukający nowości w teatrze, których nie mierzi to, że spektakl jest o homoseksualizmie, tematach tabu, że nie jest to sztuka, w której tekst jest literka po literce z oryginału. A po drugiej stronie są recenzenci, którzy uważają, że nie wolno gwałcić klasyków...

AG: Powiedziała pani, że „Tygodnik Powszechny” opowiada się po stronie otwartości?

Tak, Piotr Gruszczyński, obecnie pr-owiec Teatru Rozmaitości, kiedyś recenzent teatralny „Tygodnika”, promował całe pokolenie reżyserów. Nazwał ich młodszyi zdolniejszymi, tudzież ojczobójcami. Do tego pokolenia należą: Warlikowski, Jarzyna, Cieplak i Augustynowicz. Dbał o nich. Pisał o nich. Tłumaczył ich spektakle w momencie, gdy to był zupełnie nowym teatr. Nikt nie wiedział, jak to ugryźć.

AN: Proszę opowiedzieć nam o pani najgorszej wpadce, która poszła do drukru?

Miewam wpadki z nazwiskami, zdarzyły mi się literówki. Nie podcinam sobie przez to żył. Był jednak jeden błąd, który nie mam pojęcia, jak mi się przydarzył. Do teatru trafiłam przez fascynację Peterem Brookiem, legendarnym reżyserem brytyjskiego pochodzenia. Pisałam o nim olimpiadę teatrologiczną. Pierwsze zarobione pieniądze wydałam na książki właśnie o nim. Ale w zapowiedzi nadchodzącego sezonu napisałam, że spektakl w teatrze Jandy ma zrobić Natasha Brook – żona sławnego AMERYKAŃSKIEGO reżysera. Niby nie brzmi to jakoś strasznie, ale jeśli pisze się o człowieku, którego zna się od tak dawna, to coś takiego... trafia. Następnego dnia miałam zajęcia na teatrologii. Wiedziałam, że profesorowie czytali. Myślałam, że schowam się pod ławkę.

AN: Czy recenzent teatralny może zniechęcić do chodzenia do teatru?

Ale to jest moja rola, by mówić czytelnikowi, czy warto wydać na przykład sto złotych na bilet, czy lepiej zostać w domu. Zarządzam funduszami domowymi wielu polskich rodzin!



POLECANE PRZEZ JOANNĘ DERKACZEW:

- Książka – każda książka Milana Kundery oraz „Mistrz i Małgorzata” Bułhakowa
Kundera nie ma sobie równych w opisywaniu rzeczywistości tak, jakby chciał ją jednocześnie spoliczkować i ocalić. A „Mistrz i Małgorzata” to książka na tyle pojemna, że wszędzie można znaleźć do niej odwołania. Bułhakow wiele przewidział. Jak będzie wyglądała rzeczywistość, w której dziś żyjemy i jego spostrzeżenia w większości pasują od tego, co dzieje się dziś w teatrze, filmie i ogólnie kulturze.
- Spektakl – Krzysztof Warlikowski – „Oczyszczeni”
Polski dziennikarz powinien choć raz w życiu zobaczyć jakiś spektakl Krzysztofa Warlikowskiego, albo Krystiana Lupy. Myślę jednak, że Warlikowskiego „Oczyszczonych” Sarah Kane. To pewien typ aktorstwa i konstruowania spektaklu doprowadzony do ekstremum. To jest spektakl o niesłychanym okrucieństwie, które nie zostaje pokazane wprost, tylko poprzez poezję. Wychodzi się z niego jak po jakimś seansie u psychologa. Można poczuć się zupełnie innym człowiekiem, przynajmniej jak się jest młodych, chłonnym i otwartym, poszukującym własnej tożsamości.
- Muzyka – Chuck Mangione, „Children of Sanchez”
Jak dla mnie: Chuck Mangione, „Children of Sanchez” – chyba tylko dlatego, że uwielbiam trąbkę i takie nieoczywiste etniczno – jazzowe rytmy.
- Film – „Kabaret” Boba Fossa
O najważniejszy film, powinniście pewnie spytać pana Tadeusza Sobolewskiego. Dzisiaj go akurat nie ma, a ja siedzę przy jego biurku. Nie dorobiłam się jeszcze swojego i migruję. Film... chyba „Kabaret”, choć to może trochę oczywiste, ale moje.

Joanna Derkaczew – recenzentka teatralna „Gazety Wyborczej”. Kończy studia na wydziale Wiedzy o Teatrze Akademii Teatralnej i w Instytucie Filozofii UW. Współpracuje z „Dialogiem”, „Didaskaliami”, „Opcjami”, „Przeglądem Filozoficzno-Literackim” i czeskim magazynem „Svet a Divadlo”. Brała udział w pracach nad słownikiem młodej polskiej kultury „Tekstyła Bis”.

Wakacyjne myśli bywają słodkie jak zapach drzew owocowych, gorące jak piasek na plaży i ulotne niczym nasiona dmuchawca. Niech i taka będzie nasza lektura, wyjście do teatru, wieczór filmowy czy nowe muzyczne odkrycie. Niech trochę lżej będzie nam na duszy.

Założymy się, że każdy z Was chciałby w końcu zobaczyć jakąś romantyczną komedię, w której więcej bajki niż rzeczywistości, zrelaksować się w teatrze i nie przeżywać kolejnego katharsis podczas lektury na hamaku. A podczas grillowania weekendowych kielbasek słuchać muzyki, która pomaga w trawieniu wysokokalorycznych potraw. Bez wyrzutów sumienia. Od czasu do czasu należy się nam urlop od tak zwanej kultury wysokiej. Nie wstydzmy się do tego przyznać.

Żeby zachęcić Was do zrobienia pierwszego kroku w stronę lekkiego kiczu, twórczej naiwności i banału postanowiliśmy poddać się pewnemu doświadczeniu.

Po przeprowadzonym relaksie kultura B stwierdzamy jednomyślnie, że:

Po pierwsze: to, co cię nie zabije, to wzmocni.

Po drugie: lepiej późno niż wcale.

Po trzecie: niczego w życiu nie trzeba się bardziej lękać, niż przesadnej powagi.

Po czwarte: by poznać wroga trzeba zakraść się do jego obozu.

Po piąte i ostatnie: trzeba wiedzieć kiedy przestać – kultura z niższej półki, choć jest potrzebna, to uzależnia.

W pełni odpowiedzialne za Wasze studenckie trzymiesięczne wakacje, odrobinę złężnione o Wasz kulturalny rozwój, przekazujemy kilka B – kulturalnych propozycji

PRZYPADKI CHODZĄ PO LUDZIACH

Trudno powiedzieć czy film PRZYPADEK HAROLDA CRICKA jest filmem klasy B. Jeśli tak, to i ujawniony światu dziennik panny Jones należy zaliczyć do tej kategorii. Faktycznie, film ten jest połączeniem komedii romantycznej, tragikomedii z odrobiną fantastyki. A jeżeli mówimy o fantastyce, reżyserem PRZYPADKU HAROLDA CRICKA jest Marc Foster – twórca filmu MARZYCIEL.

Główny bohater jest typowym pracownikiem Urzędu Skarbowego, którego życie mieści się między pracą a wyliczonym co do sekundy snem. Jak na poborcę podatkowego przystało, życiem Harolda rządzą liczby oraz zegarek. Ten okrutny przedmiot urosł w życiu urzędnika do rangi przyjaciela, aż do pewnego niezwykłego dnia...

Tego dnia Harold wstaje, by podjąć wyzwanie rutynowych czynności, znanych mu na pamięć. Wszystko jest takie jak wczoraj, przedwczoraj i... tydzień temu, z wyjątkiem jednego: Podczas mycia zębów – rytuału liczenia pociągnięć szczoteczki - Harold słyszy w głowie kobiecy głos.

Właścicielką głosu jest zapomniana pisarka Karen „Kay” Eiffel, próbująca wymyślić zakończenie swojej, jak mniemam, najlepszej książki. Nie wie jednak, że Crick istnieje naprawdę. Co więcej, cechą charakterystyczną pisarstwa panny Eiffel jest uśmiercanie każdorazowo głównych bohaterów.

PRZYPADEK HAROLDA CRICKA ogląda się jak komedię romantyczną, ale reżyser pod powierzchnią miłosnej opowieści, ukrył głębszy przekaz, który można skrócić do jednego zdania: Jeśli czujesz, że twoim życiem zaczęły rządzić przedmioty mierzące upływ czasu, spróbuj odnaleźć w sobie pokłady radości, wyzwolić spontaniczność, odwagę i wiarę w to, że na miłość nigdy nie jest za późno. Ten film to lekcja jak żyć autentycznie, jak nie uронić choćby jednej kropli zachwytu.

Ucząc się na błędach HAROLDA CRICKA nie warto oglądać filmów gdy słońce w zenicie, a my wysmarowaliśmy się właśnie olejkami do opalania. Nie warto, gdy wieczorami odurza nas zapach kwitnących roślin, nad nami uwiecznione niebo, a obok ukochana osoba. Nie warto. Ale gdy tylko zrobi się szaro i nadejdą letnie ulewę, proponuję obejrzeć tragikomicznie nudny i fascynujący nierealny PRZYPADEK HAROLDA CRICKA.



GDZIE SIĘ PODZIAŁY TAMTE PRYWATKI?

Zasiadźcie wygodnie w leżaku (najlepiej w okularach o kształcie skrzydeł motyla). Włączcie płytę i przenieście się muzycznym wehikułem czasu do lat młodości waszych rodziców. Tak, oni też kiedyś byli młodzi!

A więc zaczynamy:

Kobiety w mini spódniczkach. Mężczyźni marynarskich krokiem (z powodu szerokich dzwonów) przemierzają ulice miast. Kolejki przed sklepami z winylowymi płytami. Po ulicach jeżdżą najnowsze modele syrenki – luksus nie dla każdego Polaka. Szał Czerwonych Gitar i Anny Jantar, która śpiewała: Tyle słońca w całym mieście. Na prywatkach dźwięki sączą się z czarnych płyt: Młynarski śpiewa: „Jesteśmy na wczasach”... Nieśmiało pocałunki, „dozwolone od lat osiemnastu” pierwsze miłości. Wszystko to w jaskrawych kolorach i błękiecie dżinsów z Pewex–u, kupionych za ciężko zarobione pieniądze na saksach w NRD.

Świat zmienił się, ponieważ „nic nie może przecież wiecznie trwać”. Prywatkowicze PRL- u wyrzolił z imprez przy lemoniadzie, a na horyzoncie pojawił się wiek dwudziesty pierwszy.

Ta sentymtalna składanka pomoże odtworzyć kolorowy świat big beatu. Wspaniała na weekendowe spotkania w szerszym gronie znajomych (o ile mają poczucie humoru). Świetny dodatek do kryminału czytanego nad bałtyckim morzem, krzyżówki, kobiecego poradnika czy potraw z grilla.

ŻĄDZA ROZRYWKI



Czy scena z nieporadnie wchodzącym przez okno złodziejem wywołuje u Was gwałtowny śmiech? Widok znanych twarzy z serialu na teatralnej scenie Was uspokaja? Odwieczny temat rozkoszy fizycznych, a raczej ich brak, Was interesuje?

Jeżeli odpowiedzieliście twierdząco na jedno z tych pytań, to koniecznie wybijcie się na komedię Johna Tobiasa w Teatrze Bajka. Sztuka pod kusząco brzmącym tytułem „Dzikie żądze” opiera się na prostym pomysle. Znudzona para małżeńska postanawia wprowadzić w życie rady doktora Baumgartnera, który

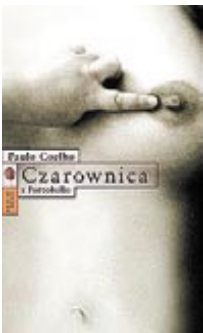
w swoim podręczniku namawia do realizacji wybujałych fantazji. I tu następuje oczywiście seria mniej lub bardziej komicznych sytuacji, komplikujących życie państwa Griffin i paru przypadkowych osób.

Lekki humor i dobra zabawa aktorów na scenie są od czasu do czasu wskazane. Sztukę proponuję potraktować w kategorii „Britney Spears dla intelektualistów” i zaspokoić swoją żądzę rozrywki.

Teatr Bajka, „Dzikie żądze” Johna Tobiasa, reż.: Zenon Dondajewski, Stefan Friedmann, występują m.in.: Anna Korcz, Elżbieta Zajączkówna, Karol Strasburger.

PODANE NA TACY

Miłośnicy polskich gór nie potrafią zrozumieć turystów z nadbałtyckich kurortów. Podobnie jest z czytelnikami. Krytycy twórczości Paulo Coelho łapią się za głowy i słysząc o jego kolejnym wydawniczym sukcesie, a pisarz niezmiennie podtyka swoim fanom pod nos nieskomplikowane prawdy życiowe. Nie inaczej jest w „Czarownicy z Portobello”. Historia Ateny, tytułowej czarownicy, jest ujęta w - trzeba przyznać - ciekawą formę zeznań ludzi, którzy się z nią zetknęli. Z opowieści powstaje niestety zawiły i niezbyt absorbujący czytelnika życiorys porzuconej w Transylwanii sieroty o nadprzyrodzonych zdolnościach.



Trudno to czasami traktować jako spójną całość. A ta jest – naturalnie - okraszona złotymi myślami autora, które niebezpiecznie kuszą swoją prostotą.

Książkę kupi więc ten, kto lubi mieć wszystko podane na plastikowej tacy w kolorze pastelowym. Może właśnie w namiotowej księgarni, w jednym z tych nadbałtyckich kurortów.

Paulo Coelho, „Czarownica z Portobello”, wyd. Drzewo Babel, Warszawa 2007



**W MIXIE.
NOWY OPERATOR KOMÓRKI TO TY.**



1 zł

**Filmuj nowym
Sony Ericssonem K510i**

Nad morzem czy gdzieś, upamiętnij to i owo czego to nieposiadającym, ledwie co stworzonym, a już u nas, teleaparatem z fotoaparatem 1,3 MPix i łączem Bluetooth™.

Mix. Najlepsze telefony na kartę za złotówkę.

Sprzedaż: 0 801 400 601. Szczegóły w regulaminie i na www.plus.pl

Plus